Strona 4

Problemem jest Rosja, nie sam Putin

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

Strona 10

Co zyskujemy dzięki kryzysom supermocarstw

26 sierpnia 2022 - *Warszawa – Polska* **Numer 14(26)/2022**

Nowa żelazna kurtyna

Wojna ujawnia wiele rzeczy, w większości tragicznych – zauważa słusznie Tim Marshall w swoim artykule dla „The Telegraph". Pisze o tym, że położenie geograficzne ma duże znaczenie, jeśli chodzi o wywoływanie konfliktów między państwami. Wpływa ono też na sposób, w jaki się potoczą. Jednym z przykładów jest konflikt Ukraina-Rosja.

Rosję od reszty Europy oddzielają Karpaty. Ten, jeden z największych, europejskich łańcuchów górskich ciągnie się przez południową Polskę oraz kilku innych państw, kończąc się w Rumunii. Następnie płaski teren biegnie w dół do Morza Czarnego. Sięgając do historii, można zauważyć, że „jeśli duża armia chciała podejść do Rosji od zachodu, Karpaty stawały jej na drodze, zmuszając ją do omijania pasma na południe lub północ, a najczęściej na północ. Ten północny płaski teren nazywa się Polską – jest to najwęższy punkt Niziny Północnoeuropejskiej, która ciągnie się aż do Francji. Gdy armia inwazyjna skieruje się na wschód przez Polskę, równina rozszerza się ponownie wzdłuż granicy z Rosją" – opisuje sytuację Tim Marshall. To pokazuje, jak i dlaczego Polska stawała się terenem i świadkiem wielu bitew.

Przez Polskę zmierzała ku Rosji tak armia Napoleona w 1812 roku, jak i Hitlera w 1941 roku. To właśnie położenie nadwiślańskiego kraju sprawiło, że Rosja chciała wielokrotnie go zająć.

„W przypadku niepowodzenia, pozycją awaryjną jest zajęcie lub kontrolowanie terenów bezpośrednio przed nią, jako strefy buforowej – Białorusi i Ukrainy" – zauważa Marshall.

Dla Rosji ważny jest też dostęp do portu z ciepłymi wodami. Na północy, dryfujący lód uniemożliwia jej marynarce żeglugę przez sporą część roku. Pozostaje ciasny Bałtyk, skąd przez cieśninę Skagerrak można dotrzeć do Morza Północnego.

Według autora „Putin potrafił wykorzystać tę historię i słabość geograficzną do zdobycia poparcia u siebie, grając na zbiorowej pamięci swojego kraju i obawach przed światem zewnętrznym".

Ciąg dalszy na stronie 2

Dr Janusz Grobicki
Redaktor Naczelny

Chińskie władze i widmo kryzysu

Chiny już wyścig przegrały. Akurat kryzys deweloperski nie jest tutaj kluczowy, władze nie przejmują się paroma milionami majętnych ludzi, którzy zainwestowali w kolejne mieszkania. Gdyby poczuły „mus", oskubałyby ich bezwzględnie (co z pewnością częściowo będzie miało miejsce, tym bardziej że prywatna własność nieruchomości jest zgodnie z konstytucją Chin – nielegalna).

Problem firm deweloperskich ma, z punktu widzenia Xi dwa negatywne przełożenia. Pierwsze to osłabienie instytucji finansowych, które już straciły i stracą kolejne miliardy. Skutkiem tego spadnie ważna politycznie i wizerunkowo aktywność inwestycyjna Chin. Drugi to zauważony przez Prof. Grzegorza Górskiego (tekst na portalu Fronda), możliwy kryzys gospodarczy, osłabiający bazę wzrostu PKB.

Warto zwrócić uwagę, że przed rychłymi wyborami na „Cesarza Błękitnego Nieba", aktywność Xi spadła drastycznie. Skłania to ku następującej alternatywie – albo Xi czuje się słabo i aktywność mogłaby go jeszcze osłabić – bądź jest to cisza przed burzą (podążanie ścieżkami strategii Sun Tze).

Ciąg dalszy na stronie 3

Czy piwo może zniknąć z rynku?

Najpopularniejszy napój na świecie, czyli piwo, niedługo przejdzie do lamusa. To szokujące stwierdzenie, ale hiszpański dziennik „La Razon" opisuje czynniki, które mogą do tego doprowadzić. Czy ten straszny dla miłośników złotego trunku scenariusz ma szansę się spełnić?

Braki w dostawach, nasilone przez zmiany klimatyczne, a także inflacja i kryzys. Przez to wszystko wytworzą się zaopatrzeniowe niedobory, a piwo może zniknąć z rynku. Problemy rozpoczęły się już w połowie 2021 roku, częściowo przez ekonomiczne skutki pandemii koronowirusa. Wojna w Ukrainie pogłębiła ten stan. Duży wpływ mają też klimatyczne anomalie, takie, jak fale upałów i susza, potęgujące braki składników produkcyjnych. Ceny wzrosły, a „gwoździem do trumny" okazała się globalna inflacja.

Prezydent Meksyku Andrés Manuel López Obrador rozważa możliwość wstrzymania produkcji przez należące do czołowych producentów na świecie browary na północy kraju. Przyczyną jest brak opadów i niedobór wody, podstawowego surowca do wytwarzania piwa. Już wcześniej Meksyk ostrzegał przed taką ewentualnością. Jeżeli w sytuacji środowiskowej nic się w najbliższym czasie nie zmieni, to produkcja w kolejnych tygodniach czy miesiącach nie będzie kontynuowana.

Ciąg dalszy na stronie 2

Wojna trwa. Rosyjski biznes się kręci

Rosja nadal dostarcza do Stanów Zjednoczonych towary o wartości około 1 mld dolarów miesięcznie. Pomimo sankcji nałożonych na Moskwę za inwazję na Ukrainę, handel niektórymi towarami z USA trwa nieprzerwanie – informuje agencja Associated Press. Administracja Bidena uzasadnia ten proceder obawami, że całkowite zamrożenie obrotu towarowego z Rosją, załamałoby globalną wymianę handlową. Ciekawe, jaka część uzyskanych od USA wpływów, finansuje ruską agresję na Ukrainię? Ostatnio pojawiła się informacja, że za milczącą aprobatą USA, państwowy koncern rosyjski Rosatom wybuduje elektrownię atomową w Egipcie. Inwestycja będzie kosztować około 30 mld dolarów, z czego 85 proc. jest finansowane z 25 mld dolarów pożyczki od Rosji. Porozumienie w tej sprawie w grudniu podpisał Putin i prezydent Egiptu Abdel-Fattah Al-Sisi. Z kolei Korea Południowa podpisała kontrakt o wartości 2,25 miliarda dolarów z zależną od Rosatomu rosyjską firmą ASE na dostawę komponentów i budowę turbiny dla tej egipskiej elektrowni jądrowej. Patrząc nieco szerzej na politykę handlową reżimu kremlowskiego, jej skuteczność wpisuje się w realizację strategicznych celów Putina. Potwierdza to, chociażby wypowiedź ambasadora Niemiec w Wielkiej Brytanii. Przewiduje on, że istnieje ryzyko, iż poparcie społeczne dla Ukrainy może osłabnąć tej zimy w miarę nasilania się kryzysu energetycznego. „Myślę, że jest to takie samo wyzwanie tutaj w Wielkiej Brytanii, dla Francji, dla całej Europy. Sposób, w jaki Putin używa gazu jako broni i wywiera presję na nasze społeczeństwa – chce sprawdzić naszą determinację" – podkreślił dyplomata. Sankcje nałożone przez Unię Europejską na Rosję po jej inwazji na Ukrainę nakazują unijnym rządom i innym organom publicznym zerwanie istniejących kontraktów z rosyjskimi firmami do 10 października. Tymczasem „New York Times" zauważa, że decyzja Putina o zwiększeniu armii o 137 tys. żołnierzy wskazuje, że „spodziewa się on przedłużenia wojny w Ukrainie".

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 14(26)/2022*

Nowa żelazna kurtyna

Ciąg dalszy ze strony 1

Inwazja wojsk rosyjskich na Ukrainę nie zaczęła się w tym roku. Już w 2014 roku Rosja odcięła skrawek tego kraju, traktując go jako strefę buforową i zaanektowała Krym. W ten sposób weszła w posiadanie ciepłowodnego portu Sewastopol. Rozochocona zwycięstwem, czując się silna, w 2022 roku podjęła kolejną próbę zajęcia dalszej części terytorium Ukrainy.

Putin wprowadził swoje wojska na Białoruś i w kierunku granicy z Polską. Ustawił je również obok Przesmyku Suwalskiego – krótkiej granicy między Polską a Litwą. Przylegające tereny stanowią jednocześnie połączenie terytorium państw bałtyckich z Polską i resztą państw NATO oraz rozdzielają terytorium rosyjskiego obwodu kaliningradzkiego od sojuszniczej wobec Rosji Białorusi. Według niektórych ekspertów wojennych region ten należy do potencjalnie najbardziej zapalnych punktów w Europie. Jest to bowiem jedyna droga lądowa, przez którą NATO może wzmocnić trzy słabo uzbrojone kraje bałtyckie: Litwę, Łotwę i Estonię.

Z Białorusi, z kolei, rosyjskie wojska mają bezpośredni dostęp do Polski na szerokim froncie. Siły zbrojne w tym regionie zazwyczaj znajdują się tuż przy bramie smoleńskiej. Jest to odcinek między górną Dźwiną i górnym Dnieprem. To najczęściej tędy przemieszczają się wojska do lub z Rosji. Teraz rosyjscy żołnierze mogą posuwać się tędy naprzód przez Białoruś. Niepokoi to nie tylko Polskę.

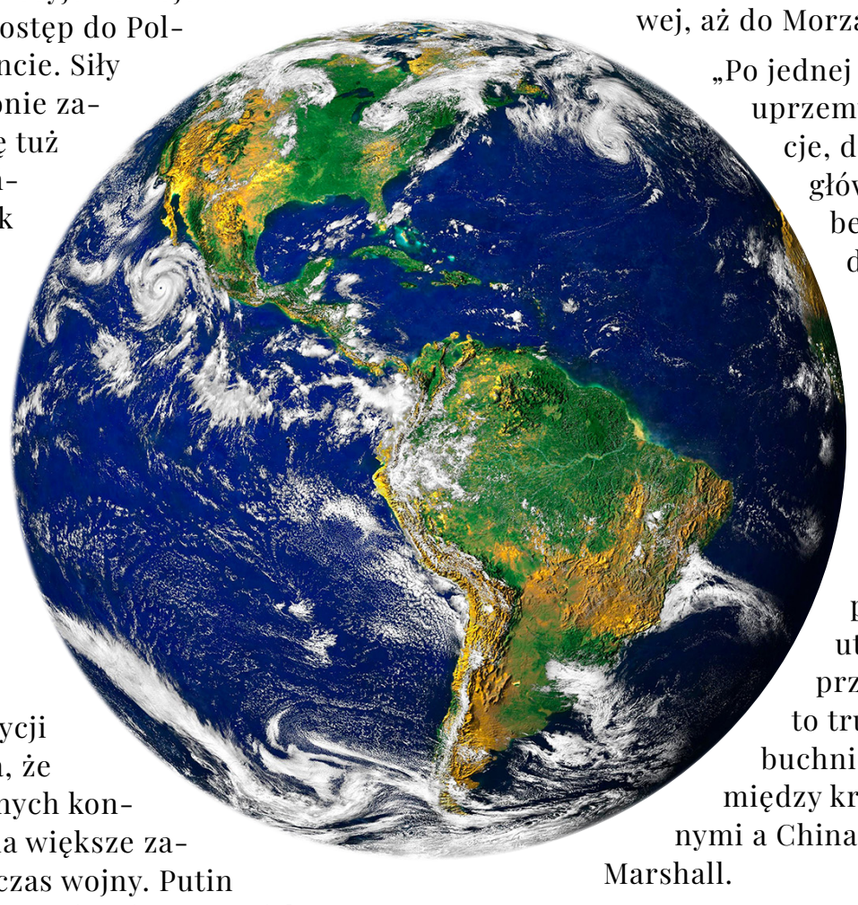

„Ale mimo tych pozycji siły, Kreml odkrywa, że prawo niezamierzonych konsekwencji rzadko ma większe zastosowanie niż podczas wojny. Putin spodziewał się, że NATO i Unia Europejska podzielą się na jastrzębie i gołębie. Zamiast tego NATO na nowo odkryło swoją rację bytu, a UE w większości się zjednoczyła" – pisze Marshall.

Rezultaty były inne, niż Rosja oczekiwała. Niemcy, które przez 75 lat pielęgnowały poczucie winy związane z II Wojną Światową, uwolniły się od niego. Zobowiązały się zwiększyć wydatki na obronę. Na dodatek „zamroziły" Nord Stream 2, ogromny projekt gazociągu między Niemcami a Rosją. Węgry będące blisko Rosji też musiały wybrać: Moskwa czy Bruksela.

Nie mogły jednak zlekceważyć historii i geografii. Po pierwszej wojnie światowej Austro-Węgry zostały podzielone. Węgierskie, przez tysiąc lat Zakarpacie, znalazło się na terenie dzisiejszej Ukrainy. W obwodzie zakarpackim mieszka obecnie 150 tysięcy etnicznych Węgrów. Istnieją tam napięcia dotyczące ich prawa do używania ojczystego języka. Mimo że Węgry uważają, że tereny te zostały im odebrane niesprawiedliwie, to nie zgłaszają do nich prawnych roszczeń. Jednak, połączenie historii i zależności od rosyjskiej energii spowodowały, że Węgry, stając po stronie NATO, postanowiły nie angażować się w konflikt. Dominująca tam narracja to konieczność „trzymania się od wojny z daleka" i niedopuszczenie do tego, by ktokolwiek w jakikolwiek sposób „wciągnął Węgry w tę wojnę".

Węgry importują około 65 proc. ropy naftowej i 75 proc. gazu z Rosji. W związku z tym nie przyłączyły się do sankcji wobec rosyjskiego sektora energetycznego. Odmówiły również udzielenia Ukrainie pomocy wojskowej i nie pozwoliły na tranzyt broni NATO na jej teren przez swój kraj. Oficjalnie tłumaczyły to koniecznością ochrony Zakarpacia zamieszkałego przecież przez ogromną grupę Węgrów.

Węgrom w rezultacie obcięto fundusze UE. Już wcześniej im to groziło, ze względu na ich standardy w zakresie praworządności. Ostatecznie procedury zostały uruchomione po tym, jak Budapeszt nie dołączył do reszty UE w potępieniu, wywołanej przez Putina, wojny.

Obecnie, w całej Europie rysuje się nowa żelazna kurtyna. Rozciąga się ona od Bałtyku do Morza Czarnego. Turcja, która zamierzała odejść od NATO, będzie raczej zmuszona do pozostania w sojuszu, widząc rosyjskie zamiary zdominowania basenu Morza Czarnego.

Dalej linia nowego podziału może ciągnąć się wzdłuż granic Iranu i republik Azji Środkowej, aż do Morza Chińskiego.

„Po jednej stronie znajdują się uprzemysłowione demokracje, dla których USA są głównym gwarantem bezpieczeństwa, po drugiej zaś państwa autorytarne, zdominowane głównie przez Chiny. Indie na razie siedzą z założonymi rękami – bez większego entuzjazmu potępiają wojnę Rosji, ponieważ chcą utrzymać Moskwę przy sobie – ale będzie to trudniejsze, jeśli wybuchnie poważny kryzys między krajami demokratycznymi a Chinami" – zauważa Tim Marshall.

Wojna przyniosła też inne skutki. Od importu pszenicy z Rosji i Ukrainy jest uzależnionych 26 krajów, pozyskujących w ten sposób ponad połowę tego zboża. Tymczasem wojna doprowadziła do niedoborów i wzrostu cen w tych właśnie krajach, które najmniej mogą sobie na to pozwolić.

„Ponury Żniwiarz najeżdża Ukrainę, a dzieci w Egipcie i Jemenie głodują" – podsumowuje Marshall.

FOT. OLLIE DEWIS - COMMONS.WIKIMEDIA.ORG

Tim Marshall jest autorem książek The Power of Geography i Prisoners of Geography, wydanych przez Elliott and Thompson

Źródło: The Telegraph

Czy piwo może zniknąć z rynku?

Ciąg dalszy ze strony 1

Federalna władza wykonawcza zapowiedziała, że browarnicy oraz producenci napojów bezalkoholowych uzyskają wszelkie udogodnienia do zaopatrywania się w surowce z południa kraju. Rząd nie zamierza jednak wydawać więcej pozwoleń na funkcjonowanie przemysłu piwowarskiego na północy. W Meksyku 73 proc. składników używanych przy produkcji piwa jest krajowego pochodzenia. To państwo oprócz Chin, Stanów Zjednoczonych i Brazylii znajduje się wśród najważniejszych globalnych wytwórców.

Trudności ma też Hiszpania. Ograniczenia rozpoczęły się tutaj od ustalenia (podobnie jak w innych krajach UE) limitów zużycia energii. Realizuje się to m.in. poprzez ustawienie klimatyzacji na nie mniej niż 27 stopni Celsjusza. Fale upałów zalewające ten iberyjski kraj zaczęły się w pierwszej kolejności przekładać na niedobór lodu. Racjonują go nie tylko fabryki, ale także supermarkety, a worków z lodem szukają już hotele i stacje benzynowe. Choć taki deficyt może się wydawać błahy, to Hiszpania spodziewa się kolejnych niedoborów. W czerwcu ubiegłego roku rolnicy ostrzegali, że może zabraknąć kurczaków i mleka, jeśli wzrost kosztów produkcji nie zostanie przeniesiony na cenę produktu. A całkiem prawdopodobne, że to tej listy dołączy też piwo.

Źródło: La Razon

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - Warszawa – Polska *Numer 14(26)/2022*

Chińskie władze i widmo kryzysu

Ciąg dalszy ze strony 1

Jednak wydaje się, że ten pierwszy scenariusz jest bliższy prawdy, a czy jest tak w istocie, dowiemy się już niedługo.

Musimy mieć jednak świadomość zagrożeń. Gdyby nie wątpliwy przykład Rosji, być może Chiny zdecydowałby się zaatakować Tajwan, gdy są do tego jeszcze niedostatecznie przygotowane. Jakiej innej akcji moglibyśmy się spodziewać? Pójście na ekonomiczną wojnę z Zachodem w sytuacji kryzysu wewnętrznego wydaje się samobójcze. Taka wojna, owszem wywołałaby globalny kryzys gospodarczy o skali dawno nie spotykanej, ale Chiny mogłyby zapłacić cenę jeszcze wyższą.

Trudno odgadnąć zamiary Xi. Musimy mieć świadomość, że jego kapitałem jest „brak utraty twarzy" (mianzi), a przed wyborami zrobi wiele, aby jego walka o reelekcję skończyła się sukcesem. Natomiast każda porażka może mu osiągnięcie tego celu utrudnić.

Dla pozycji Xi dużo większym zagrożeniem może stać się kryzys w małych bankach regionalnych i utrata oszczędności przez dziesiątki milionów zwykłych Chińczyków. Pamiętając, że przynajmniej formalnie Chiny są państwem komunistycznym, „oskubanie" paru milionów milionerów, może dać nawet dodatkowe poparcie Xi. Natomiast „oszukanie" „zwykłych zjadaczy chleba", to coś, na co Xi pozwolić sobie nie może.

Musimy też pamiętać, że kryzys energetyczny trwa w Chinach już drugi rok (z małymi przerwami). Rzutuje na efektywność ekonomiczną Państwa Środka. Chiny, ewidentnie sobie z nim nie potrafią poradzić. Skala tego zagrożenia spadła, ale problem nie znikł. Jednocześnie musimy mieć świadomość, że zaawansowanie naukowe, technologiczne i przemysłowe Chin, mimo mnóstwa kłopotów także nie zniknie. Chiny pozostaną już jednym z najważniejszych mocarstw na mapie świata.

Wszelkie zaburzenia, to naruszenie harmonii, równowagi, czegoś, na co każdy Chińczyk jest czuły, gdyż oznacza kamyk wrzucony w płaską toń Tao, a ta powinna zostać, o ile to tylko możliwe – nietknięta.

Krzysztof Jaroszuk

Precyzja uderzenia to memento dla rosyjskich agresorów

Niezależnie od rozmiarów strat stanowiących efekt terrorystycznych ataków, jakich rosyjski agresor dopuszcza się względem ludności i obiektów cywilnych w Ukrainie, punktowe uderzenia w sprzęt i oddziały wroga oraz precyzyjne ciosy zadawane Rosjanom przez ukraińskie siły zbrojne z użyciem zaawansowanej technologicznie broni, dostarczanej obrońcom przez Zachód – muszą robić wrażenie.

Nowoczesne rodzaje uzbrojenia cechuje nie tylko daleki zasięg i precyzja, połączone z siłą rażenia, ale mobilność i nikły ślad elektromagnetyczny co – jak w przypadku dronów kamikadze – utrudnia ich skuteczne wykrycie i neutralizację. Warmate – amunicja krążąca pozwoliła Ukraińcom zniszczyć rosyjską wieżę telewizyjną w rejonie Biełgorodu.

Konstrukcja (wprawdzie mniejsza od słynnej Belgorod TV Tower) zlokalizowana była opodal granicy z Ukrainą – w bezpośrednim sąsiedztwie położonej w obwodzie sumskim wsi Oleksandrivka, gdzie toczyły się zacięte walki. Dostępne w sieci nagranie zarejestrowało moment niewielkiej detonacji u podstawy metalowej konstrukcji wieży, w efekcie czego dochodzi do jej zawalenia.

Wbrew pozorom rzecz nie szła o sygnał telewizyjny i możliwość odcięcia mieszkańców od kłamliwej rosyjskiej propagandy. Wieża stanowiła bowiem dogodny punkt obserwacyjny, pozwalający siłom agresora śledzić ruchy wojsk ukraińskich i wykrywać ewentualne działania kontrofensywne. Wieże tej konstrukcji stanowią przekaźniki w łączności komórkowej oraz znajdują zastosowanie w łączności radiowej niskiej mocy. Wątpliwości obserwatorów budzi jedynie fakt, że na nagraniu nie zarejestrowano drona.

Równolegle strona rosyjska oskarża Ukraińców, jakoby ostrzeliwali oni Zaporoską Elektrownię Atomową przy użyciu dronów Warmate, dostarczanych przez polskiego producenta. W całości są one owocem polskiej myśli technicznej (wraz z wytwarzanymi w naszym kraju komponentami). Ta kremlowska dezinformacja ma w zamyśle jej autorów przesłonić fakt, że w konfrontacji z nowoczesnym uzbrojeniem NATO, opowieści propagandowe o olbrzymich możliwościach Rosjan nie znajdują potwierdzenia.

Rzecz jasna nie jest naszą rolą dementować, czy też potwierdzać te doniesienia, jako że w toczącym się starciu informacja stanowi groźny oręż. Dowodzi tego dobitnie, najnowszy fakt zlokalizowania sztabu Grupy Wagnera na podstawie zdjęcia opublikowanego w sieci.

Wedle oficjalnie dostępnych danych, tego typu amunicją krążącą jest tylko amerykański system Switchblade oraz polski Warmate. Ukraińcy twierdzą, że konstrukcja amerykańska ma mniejszy zasięg i mniejszą odporność na zakłócenia. Przeprowadzenie ataku na terenie Federacji Rosyjskiej wskazuje na ukraińskie Wojska Operacji Specjalnych. Posiadają one na wyposażeniu drony Warmate produkcji Grupy WB. Zaletą tego polskiego systemu rozpoznawczo-uderzeniowego, złożonego z dwóch płatowców i systemu sterowania jest możliwość przenoszenia w plecakach – przez zaledwie dwóch żołnierzy.

Symbolicznego wymiaru nabiera data zniszczenia rosyjskiej wieży, a mianowicie w dniu Święta Wojska Polskiego.

Maciej Małek

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - Warszawa – Polska *Numer 14(26)/2022*

Problemem jest Rosja,

Putin rozpoczął inwazję na Ukrainę pół roku temu. Zdążyła ona pochłonąć dziesiątki tysięcy istnień i nic nie wskazuje na to, by szybko miała się skończyć. „The Times" zastanawia się, jak w takiej sytuacji współistnieć z Rosją.

Stawka prowadzonych na Ukrainie działań wojennych staje się coraz wyższa. Walki niedaleko elektrowni atomowej w Zaporożu nad Dnieprem sprawiły, że światowi przywódcy zaczęli obawiać się katastrofy nuklearnej – porównywalnej do tej, jaka miała miejsce w Czarnobylu w 1986 r. Tamten wybuch przyspieszył upadek Związku Radzieckiego, unaoczniając liczne wady sowieckiej państwowości. Obecna sytuacja w Zaporożu jest jednak dalekim echem napięć, jakie powstały po upadku ZSRR.

I choć wszystkim członkom międzynarodowej społeczności zależy na jak najszybszym rozładowaniu tych napięć, to musimy liczyć się z tym, że konflikt przeciągnie się na wiele lat. Co oznacza, że trzeba zadać sobie pytanie o to, w jaki sposób Zachód może koegzystować z Rosją.

Wbrew jednej z popularnych obiegowych narracji obecna sytuacja nie sprowadza się do „problemu Putina". Historia jego kraju ewidentnie pokazuje, że to „problem Rosji" i nie ma co liczyć na jego rozwiązanie wraz z odejściem obecnego prezydenta.

Odroczona przemoc

Źródła obecnego konfliktu tkwią w roku 1991, kiedy Związek Radziecki rozpadł się na 15 republik. Granice były wtedy wyznaczane często w sposób arbitralny, a podział na suwerenne państwa zaczął obowiązywać w zasadzie z dnia na dzień. W tej sytuacji prawie 25 mln etnicznych Rosjan znalazło się nagle w obcym kraju.

Ten rozpad, który zaakceptował Borys Jelcyn, chcąc dzięki temu obalić komunistycznego Gorbaczowa, jednocześnie unikając rozlewu krwi, nie był do końca pokojową transformacją. Mógł się taką wydawać w zestawieniu np. z upadającą Jugosławią, ale dziś widzimy, że przemocy nie uniknięto – jedynie ją odroczono.

Najpierw krwawą cenę zapłacili Czeczeni, uwikłani w dwie wyniszczające wojny, a druga z nich wzmocniła władzę Putina. Następnie w 2008 r. Rosja zaatakowała Gruzję, pod pretekstem ochrony Osetyjczyków.

Atak na Ukrainę był więc tylko kwestią czasu. To nie tylko duży kraj, ale także terytorium, które dzieliło z Rosją sporą część historii. Chociaż od średniowiecza do czasów Związku Radzieckiego ziemie dzisiejszej Ukrainy były pod różnym władaniem, to przyznać trzeba, że w zasadzie od lat 60. XVI wieku przeważająca ich część była rządzona albo z Moskwy, albo z Petersburga. Po rozpadzie ZSRR Ukraina była także miejscem zamieszkania większości diaspory rosyjskiej, liczącej wtedy 25 mln członków.

Jeszcze w 1989 r., czyli na dwa lata przed rozpadem Związku Radzieckiego, przeprowadzono spis ludności. Wtedy aż 22,1 proc. mieszkańców Ukrainy (czyli 11,4 mln osób) deklarowało, że są Rosjanami. Na samym Krymie odsetek ten sięgał 65,6 proc. Krym faktycznie był rosyjski do 1954 r., kiedy przywódca Rosji Nikita Chruszczow przekazał go Ukrainie.

Kwestie tożsamości

Początkowo Putin nie mógł sięgnąć po Ukrainę, bo był na to za słaby. Nie spieszyło mu się zresztą. Co prawda pomarańczowa rewolucja w 2004 r. otwarła Ukrainę bardziej na Zachód, jednak kolejny jej przywódca Wiktor Janukowycz znów skoncentrował się na Moskwie.

Dopiero w 2014 r., kiedy wybuchło wspierane przez Zachód powstanie na Majdanie, w którego wyniku Janukowycz został odsunięty od władzy, Putin zrozumiał, że nastał czas działania, w przeciwnym razie straci Ukrainę na rzecz Zachodu. Zatem zajął Krym i spowodował rebelię w Donbasie. Rzekoma wyzwalanie rosyjskojęzycznej części ukraińskich terytoriów doprowadziło na początku tego roku (jeszcze przed właściwą inwazją) do śmierci 14 tys. obywateli.

Kiedy ubiegłej zimy Putin przygotowywał grunt pod atak, powtarzał często, że Ukraina „nigdy nie miała własnej, autentycznej państwowości". Była to oczywiście jego prywatna opinia, ale musimy pamiętać, jak wielu Rosjan ją podzielało. Kiedy chwilę przed inwazją przeprowadzono wśród Rosjan sondaż na ten temat, 64 proc. z nich uważało, że wraz z Ukraińcami stanowią jeden naród. Skąd taki wynik? Z jednej strony to efekt dekady działań rosyjskiej propagandy, ale z drugiej strony faktyczna bliskość kultury, języka czy historii.

Odmienne zdanie na ten temat mieli natomiast Ukraińcy. Z upływem czasu wzmacniało się w tym narodzie poczucie odrębności, a także tożsamość narodowa oparta w dużej mierze na pretensjach względem Moskwy za wszystkie wycierpiane krzywdy, które ta zadała Ukrainie. Był to przede wszystkim Hołodomor – znana powszechnie klęska głodu, która została celowo wywołana na tym obszarze przez Stalina, będąca od 2006 r. uznawana na Ukrainie za ludobójstwo.

Nic zatem dziwnego, że w identycznym badaniu przeprowadzonym po stronie ukraińskiej tylko 28 proc. uznało, że stanowią jedność z Rosjanami (uważało tak jednak aż 45 proc. badanych na rosyjskojęzycznym wschodzie kraju).

Niedźwiedzia przysługa

Zachód próbował integrować się z Rosją już w latach 90., chociaż nie chciała ona wstępować w sojusze. Kreml miał świadomość tego, że z tak dużym arsenałem nuklearnym i tak będzie miał istotny głos w światowej geopolityce, nie musząc przy tym podpisywać żadnych traktatowych zobowiązań.

Dziś Zachód jest podzielony, jeśli chodzi o opinię na temat tego, dlaczego doszło do putinowskiej inwazji na Ukrainę i czy tej sytuacji można było zapobiec. Stronnictwo zwane realistami próbuje zrzucić winę na USA, które – poszerzając granice NATO – nie pozostawiło Rosji zbyt wielu możliwości.

Takiego zdania jest między innymi Henry Kissinger, 99-letni były sekretarz stanu USA. Jego zdaniem Ukraina powinna pozostać neutralnym buforem odgradzającym Rosję od Zachodu. „Byłem zwolennikiem pełnej niepodległości Ukrainy. Myślałem jednak, że jej najlepszą rolą będzie coś w rodzaju Finlandii" – powiedział Kissinger dziennikowi „The Wall Street Journal". Do tego komentarza wkradła się jednak niezamierzona ironia, ponieważ Finlandia – zmotywowana przez wojnę na Ukrainie – postanowiła porzucić swoją neutralność i ubiegać się o włączenie do NATO.

Gdyby jednak Ukraina poszła drogą (wcześniejszej) Finlandii, czy faktycznie mogło to zapobiec wojnie? Możemy raczej uważać, że Putin znalazłby inny pretekst, żeby oderwać od Ukrainy część terytorium i włączyć je w rosyjskie granice.

W każdym razie Ukraina znalazła się w bardzo niekorzystnej sytuacji, bo choć w 2008 r. ogłoszono, że może ona przystąpić do NATO – co rozwścieczyło Putina – to ponad dekadę później nie była ani w tym sojuszu, ani w Unii Europejskiej – a plany jej włączenia były bezterminowe i niekonkretne.

Ukraina zyskała co prawda nieco zachodniej broni, ale nie będąc w strukturach NATO, nie mogła korzystać z gwarancji ochrony wynikającej z samego traktatu. Putin jednocześnie uważał ją za natowską marionetkę i traktował wrogo.

Ciąg dalszy na stronie 5

nie sam Putin

Na co liczy Zachód

Odkąd zaczęła się wojna, zachodnie media koncentrują się na bohaterskim oporze ukraińskich sił oraz brutalności rosyjskiego agresora. Niedawne wybuchy na Krymie udowodniły, że w tej wojnie pojawił się nowy front – zawiązany przez stronę ukraińską. Prezydent Wołodymyr Zełenski nie pozostawiał wątpliwości, kiedy w oświadczeniu podkreślał: „Ta rosyjska wojna zaczęła się od Krymu i musi się skończyć na Krymie – jego wyzwoleniem".

Putin określał Krym „świętą ziemią" Rosji, nie może sobie więc pozwolić – także z powodów wizerunkowych – na jego utratę. Chociaż rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu po raz kolejny zapewniał, że „nie ma potrzeby" angażowania w walki arsenału nuklearnego, wielu komentatorów obawia się, że takie środki mogą zostać użyte z zamiarem odzyskania Krymu.

Milczą natomiast zachodni przywódcy. Nie do końca bowiem wiadomo, jak traktować Rosję – nie tylko teraz, ale i w przypadku zakończenia konfliktu.

Jedynie prezydent Francji Emmanuel Macron zabrał głos w tej sprawie, i to już na początku wojny. Był on wtedy mocno zaangażowany w rozmowy z Putinem. Jednocześnie przeciwstawiał się powszechnemu na Zachodzie upokarzaniu Putina. I choć spotkała go za te ustępstwa krytyka, to w przeciwieństwie do niego amerykański prezydent Joe Biden w ogóle nie określił realnych celów, sprowadzając je do marcowego oświadczenia, że „Putin nie może pozostać u władzy". To stwierdzenie nie miało jednak żadnego znaczenia, ponieważ bardzo szybko Biały Dom zaprzeczył, jakoby było wezwaniem do faktycznej zmiany reżimu w Rosji.

Wygląda na to, że zarówno w Waszyngtonie, jak i w Londynie, bardzo liczą na scenariusz, w którym Ukraina pokonuje militarnie Rosję, wypędza rosyjskie wojsko ze swojego terytorium, a klęska ta powoduje upadek polityczny Putina i zmianę władzy w Rosji.

Nie jest to jednak zbyt prawdopodobne. Władza Putina jest dość stabilna, ma nadal silne poparcie zarówno wśród oligarchów, jak i rosyjskiego społeczeństwa. Sankcje nakładane przez Zachód są zauważalne, ale nim faktycznie zaszkodzą gospodarce Rosji, minie jeszcze sporo czasu.

Co po Putinie

Gdyby nawet Putin w jakiś sposób opuścił Kreml, nie rozwiąże to magicznie napięć między Rosją a Zachodem. Rosjanie nie są już zapatrzeni w Zachód, traktują go krytycznie i nieufnie.

Kiedy Putin doszedł do władzy, pokładano w nim wielkie nadzieje – miał zaprowadzić porządek i dobrobyt. Zaczął budować kapitał polityczny głównie na krytyce zachodniego stylu życia i przeciwstawianiu Rosji „zachodniemu dekadentyzmowi". I nie jest w tym sam, ponieważ wpływowi politycy Kremla bardzo często wykorzystują tę samą taktykę – antagonizują Zachód, straszą nim, okazują wrogość.

Jeśli Rosja wykrwawi się na Ukrainie, będzie osłabiona i przynajmniej do pewnego stopnia wyizolowana. Ktokolwiek przyjdzie w miejsce Putina (jeśli w ogóle Putin ustąpi), Zachód nadal będzie musiał pokonać liczne przeszkody, by znaleźć z nim konstruktywny dialog i realną współpracę. Od dwóch dekad Rosja jest na kursie kolizyjnym względem Zachodu, ale trzeba próbować go zmienić.

Do tego potrzeba jednak zmian także wewnątrz Rosji. Udało się to już w Niemczech, udało w Japonii po drugiej wojnie światowej. Teraz Rosja musi porzucić swoje imperialistyczne myślenie, porzucając plany odzyskania swoich dawnych ziem. Wielkość Rosji musi zostać przedefiniowana w umysłach ich obywateli i odwoływać się do wewnętrznych osiągnięć, a nie terytorialnych zdobyczy.

Źródło: Le Figaro

Jak ocalić demokratyczną wspólnotę

Przewodnicząca Izby Reprezentantów USA Nancy Pelosi złożyła oficjalną wizytę na Tajwanie. Chiny w odpowiedzi przeprowadziły ćwiczenia wojskowe – czterodniowy pokaz sił, w którym testowały scenariusz inwazji na Tajwan. W tym czasie Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza odcięła wyspę od świata, przypłynęła statkami, przyleciała samolotami, wystrzeliła rakiety, a nawet przeprowadziła cyberataki. Było to agresywne i niebezpieczne zachowanie, które miało nastraszyć mieszkańców demokratycznej wyspy – komentuje na łamach „The Sydney Morning Herald" emerytowany generał dywizji armii australijskiej Mick Ryan.

Mamy do czynienia z podwójnym zagrożeniem dla demokratycznego świata. Z jednej strony jest putinowska Rosja, z drugiej – Chiny pod przewodnictwem Xi. Na domiar złego oba państwa nie tylko dysponują potężną siłą bojową, ale także – na to wygląda – dochodzą do porozumienia. Stoimy więc w niebezpiecznej sytuacji przypominającej tę z początku lat 40. minionego wieku.

Ale to, wobec czego stajemy dzisiaj, może być niczym w porównaniu z sytuacją, którą potencjalnie przyjdzie nam się mierzyć za kilka lat. Chiny pokazały właśnie, że ich cierpliwość wobec Tajwanu się kończy. Przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinping jest oczywiście przejęty jesiennym Kongresem Partii, ale wydaje się, że jeszcze za swojej kadencji chce rozwiązać kwestię wyspy, którą Chińczycy uważają za zbuntowaną prowincję. Nie wiadomo jednak, jak długo będzie rządził ten 69-letni dziś polityk.

Czy w takim razie możemy być świadkami nie jednej, a dwóch wojen przeciwko niewielkim demokracjom?

Taka perspektywa niesie ze sobą konsekwencje dla globalnej demokracji, międzynarodowa wspólnota może bowiem zostać wezwana do wsparcia i pomocy na dwóch frontach w tym samym czasie.

By to było możliwe, rządy muszą dbać o społeczną świadomość wartości demokratycznych. O przekonanie, że warto chronić demokrację – bez względu na jej położenie geograficzne czy lokalną formę. I nie jest to proste zadanie.

W ciągu ostatnich lat różne sondaże odnotowały spadek poparcia dla demokracji. Wynika to z ekonomicznych trudności: stopy procentowe i koszty życia w wielu krajach znacząco wzrosły. Trudno w takim kontekście aprobować wydatki na wsparcie zagranicznych demokracji – w opinii społeczeństwa mogą to być środki marnotrawione na cudze, zagraniczne wojny. Ale tak naprawdę ochrona każdej demokracji jest istotna.

Bo gdyby od tego odejść, gdyby przestać chronić jedną demokrację, jakie mielibyśmy gwarancje, że ochroniona zostanie inna – w tym nasza? To łatwy do przyjęcia argument, ale głębokie zrozumienie jego istoty będzie wymagało dużego wysiłku poszczególnych rządów.

Druga kwestia to narodowe zobowiązania w zakresie obrony, które w najbliższych miesiącach postawią wiele krajów przed trudnymi wyborami. Widać to szczególnie po takich państwach, jak Australia – która opiera się chińskiej presji, a jednocześnie realizuje przegląd swoich zdolności bojowych. To jednak wymaga wydatków. Trudno jednak byłoby Australii – i większości demokratycznych krajów świata – dotrzymać sojuszy i międzynarodowych zobowiązań, jeśli musiałaby stanąć równocześnie na dwóch frontach.

Trzecia kwestia ma charakter dalekosiężny. Widzimy teraz, ile broni i amunicji konsumuje wojna na Ukrainie. Państwa zachodnie muszą więc zaplanować solidny wzrost produkcji sprzętu wojskowego. Nie należy tego utożsamiać z mobilizacją wojskową – to mobilizacja przemysłu i gospodarki, ale także dyplomacji. Jednak taka mobilizacja wymaga silnego przywództwa, rządu, który będzie w stanie skutecznie alokować zasoby danego kraju.

Starzejący się dyktatorzy z Moskwy i Pekinu napierają na zachodnie demokracje z coraz większą siłą. Zbiorowa gotowość do obrony jest jedynym, co może ich powstrzymać. Ale do jej utrzymania potrzebne są silne przekonania i odważne decyzje polityczne oraz gospodarcze.

Źródło: www.smh.com.au

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 14(26)/2022*

Japońska droga do silnej armii

Gdy Chiny pokazują swoją militarną siłę, tworzą jednocześnie świetny kontekst dla realizacji planów zamordowanego byłego premiera Japonii: by zmienić konstytucję i rozbudować japońską armię – wskazuje „El Confidencial".

Zaraz po wizycie przewodniczącej Izby Reprezentantów USA Nancy Pelosi na Tajwanie wojsko chińskie przeprowadziło ćwiczenia wojskowe w pobliżu wyspy. Miał to być jasny komunikat zarówno dla Tajwanu, Stanów Zjednoczonych, jak i reszty świata. Pokaz sił trwał cztery dni, w których trakcie ćwiczono scenariusz inwazji na Tajwan.

W ćwiczeniach wykorzystano ostrą broń, w tym rakiety balistyczne. Kilka z nich wylądowało niedaleko Okinawy, jednej z japońskich wysp. Japonia leży niecałe 100 kilometrów od Tajwanu i był to dla niej sygnał, że ewentualne zaangażowanie się w konflikt będzie dla niej sporym ryzykiem. Paradoksalnie w ten sposób Pekin mógł tylko przyspieszyć militarną transformację Kraju Kwitnącej Wiśni.

Miesiąc temu w wyborach do najwyższego organu władzy państwowej w Japonii – Izby Radców, izby wyższej japońskiego parlamentu, zwyciężyła Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP). Stało się to dwa dni po zamachu na byłego premiera i przewodniczącego LDP Shinzo Abe, który był w trakcie kampanii wyborczej.

To zwycięstwo jest istotnym krokiem ku zmianie japońskiej konstytucji, a konkretnie jej dziewiątego artykułu, który uniemożliwia Japonii tworzenie konwencjonalnej armii. Abe nie zdołał osiągnąć swojego celu, ale jego następca, obecny premier Fumio Kishida, ma na to coraz większe szanse.

Japonia jest zaniepokojona ambicjami Chin, które wzmacniają swoje gospodarcze, dyplomatyczne i militarne relacje z państwami Azji, Pacyfiku i Afryki. Wyraźne dążenie Pekinu do dominacji w tym regionie stwarza zagrożenie dla Japonii. Dlatego przy okazji szczytu Quadrilateral Security Dialogue Forum, Japonia uzyskała zielone światło od prezydenta USA Joe Bidena na daleko idące wzmocnienie swoich zdolności obronnych i zwiększenie budżetu wojskowego.

Japonia wspiera wizję „wolnego i otwartego Indo-Pacyfiku", ale rozumie – podobnie jak Amerykanie – że dla jej realizacji kluczowe jest powstrzymanie części chińskich ambicji, a to może wymagać użycia siły militarnej. Joe Biden uważa, że najlepszym ku temu narzędziem będzie Quad – azjatycki odpowiednik NATO, do którego obok Japonii i USA należą też Australia i Indie.

LDP udało się ostatnio zwiększyć poparcie dla swojego projektu militarnej rozbudowy. Wspierają ich w tym konserwatywni politycy buddyjskiej partii Komeito. W lipcowym sondażu dziennika „Asahi Shimbun" reforma dziewiątego artykułu konstytucji zyskała poparcie 51% społeczeństwa. Pierwszy raz była za nią większość ankietowanych. Przeciwko wypowiedziało się 33% Japończyków. W marcu 2018, kiedy poprzedni raz przeprowadzano sondaż w tej sprawie, wyniki były dokładnie odwrotne: wtedy tylko 33% ankietowanych było za wprowadzeniem zmian konstytucyjnych, a 51% sprzeciwiało się temu zamiarowi.

Gdy premierem Japonii był Abe, rząd zmierzał ku nacjonalizmowi, powzięto także kroki ku zwiększeniu japońskiej siły wojskowej. Już w 2015 roku uchwalono reformę armii, która pozwoliła wykorzystać wojsko poza granicami Japonii, jeśli konieczna będzie obrona państw sojuszniczych. Taka systemowa zmiana spotkała się wówczas z ogromnym oporem japońskiego społeczeństwa i falą protestów. Nie przeszkodziło to rządowi Abe'a na kolejny kontrowersyjny krok – zezwolenie Amerykanom na prowadzenie swoich baz wojskowych na terenie Japonii. Decyzja ta niosła ze sobą olbrzymie koszty, obecność amerykańskiego wojska powodowała wiele problemów i napięć w relacjach z miejscową ludnością.

Zwycięstwo LDP nie było na tyle duże, by dać jej kwalifikowaną większość głosów w japońskim parlamencie, dlatego będzie musiała przekonać inne partie do swojego projektu zmiany konstytucji. Wydaje się jednak, że możliwe jest przekonanie innych partii – w tym Komeito – do utworzenia koalicji dającej dwie trzecie głosów wymaganych do poprawek konstytucyjnych. Premier Kishida już opowiedział się za takim rozwiązaniem.

Abe był od dawna zwolennikiem zmiany konstytucji i rozbudowy japońskiego wojska. Kishida początkowo mu się sprzeciwiał. Jednak, kiedy zajął stanowisko premiera po tragicznej śmierci swojego poprzednika, zmienił podejście. Polityczni komentatorzy spekulowali zresztą na temat tego, czy pierwotna postawa Kishidy nie była tylko polityczną zagrywką. W każdym razie od chwili objęcia stanowiska premiera, Kishida coraz bardziej przychyla się ku reformie. Paradoksalnie jego brak fanatycznego dążenia do zmiany konstytucji może być odbierany jako właściwe, powściągliwe, a przez to dobrze kalkulowane rozwiązanie, w przeciwieństwie do nacjonalistycznych czy nawet rewizjonistycznych motywacji Abe'a.

Kampania konstytucyjna odbędzie się zapewne jesienią, ale nim to nastąpi, Kishida musi zająć się innymi problemami – rosnącą inflacją, osłabieniem jena w globalnej gospodarce, koniecznością poprawy stosunków z Koreą Południową, a także rozwiązaniem sprawy zamachu na Shinzo Abe. To doraźne, choć ważne problemy, jednak uruchomienie procesów zmiany konstytucji może być ważniejsze z perspektywy dalszej polityki Kishidy.

W regionie Indo-Pacyfiku brakuje stabilności, a pakt między Rosją i Chinami oraz inwazja na Ukrainę muszą budzić obawy tokijskiego rządu. Należy bowiem pamiętać, że Chiny roszczą sobie prawo nie tylko do Tajwanu, ale także do Wysp Senkaku, które znajdują się na dalekim południowym zachodzie Japonii. Rosja tymczasem uważa, że należy się jej północna część wyspy Hokkaido.

Oczywiście te roszczenia nie są wielkim zagrożeniem, ponieważ Japonia jest chroniona przez japońsko-amerykański Traktat o Bezpieczeństwie, a obecny prezydent USA Joe Biden nadaje relacjom z Japonią priorytet. Jednak potrzeba rozbudowy japońskiej obronności jest realna i odczuwają ją nie tylko sami Japończycy, ale i Amerykanie. Państwo to musi być w stanie samodzielnie zareagować na każde zagrożenie.

Źródło: El Confidencial

Przyszłość to realizm. Republikańskie spojrzenie na świat

Ostatnie republikańskie prawybory w USA pokazały jasno jedną rzecz: przyszłość republikańskiej polityki zagranicznej opiera się na świecie takim, jaki jest, a nie takim, jaki chciałoby się, żeby był. Dla wielu normalnych Amerykanów może się to wydawać oczywistą koncepcją, ale przez dziesięciolecia kolejne administracje prowadziły politykę w oparciu o to, czego chciały, zamiast na rzeczywistości — czytamy w serwisie The American Conservative.

Bill Clinton pragnął „powiększyć" demokratyczną strefę wpływów, a w 2000 r. politolog Kenneth Waltz napisał, że oczekuje, iż „Stany Zjednoczone wkrótce podejmą działania w celu wzmocnienia demokracji na całym świecie" i że „zadanie to, jak można się obawiać, zostanie podjęte przez amerykańskich wojskowych z pewnym entuzjazmem".

„Miał rację, o czym wie każdy czytelnik The American Conservative. Potem nastąpiła seria wojen ideowych, prowadzonych przez prezydentów z obu partii" — czytamy.

Pierwsza inwazja na Afganistan pod wodzą George'a W. Busha była wynikiem wydarzeń 11 września, ale następująca po niej 20-letnia okupacja miała na celu zbudowanie liberalnej demokracji w miejscu, które jej nie chciało. Wojna w Iraku opierała się w równym stopniu na szerzeniu demokracji, co na znalezieniu broni masowego rażenia, a nigdy nie było prawdziwych przesłanek, że Irakijczycy byli zdesperowani w kwestii demokracji bardziej niż Afgańczycy.

Kiedy Barack Obama objął urząd prezydenta po Bushu, nie zdołał prawdziwie odrzucić doktryny Busha i kontynuował w Syrii oraz Libii politykę interwencji opartych na ideałach — obie okazały się katastrofalne.

GOP wydaje się przygotowana na rzeczywistość

Administracja Trumpa była pierwszą, która zerwała z tą ścieżką, ponieważ Donald Trump odrzucił koncepcję niekończących się wojen i w swoim przemówieniu inauguracyjnym opowiedział się za hasłem „America First". Nie było jednak jasne, czy droga Trumpa będzie przyszłością dla GOP (Grand Old Party — nazwa stosowana wymiennie w odniesieniu do Partii Republikańskiej), czy też tylko epizodem.

„Trump stał na czele GOP, która nadal składa się z ludzi wyznających wyidealizowaną politykę zagraniczną, nawet jeśli w trakcie jego rządów wielu starszych neokonserwatystów, takich jak Bill Kristol, otwarcie przeszło na stronę Demokratów. To sprawiło, że przyszłość amerykańskiej polityki zagranicznej była stosunkowo niejasna" — pisze autor publikacji.

Czy obie partie będą nadal miały zasadniczo takie samo podejście? Czy też GOP może się oderwać?

W trakcie wojny na Ukrainie członkowie establishmentu, zwłaszcza Demokraci, rozwinęli swoją dotychczasową idealistyczną politykę zagraniczną do poziomu zupełnej fantazji. Tymczasem przyszłość polityki zagranicznej GOP wydaje się przygotowana na rzeczywistość.

Weźmy na przykład niedawne oświadczenie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, że wojna na Ukrainie „musi się zakończyć wyzwoleniem Krymu". Taki cel jest praktycznie niemożliwy. Aby Rosja oddała Krym, musiałaby stanąć w obliczu całkowitego upadku państwa i zapomnieć, że ma broń jądrową. Jednak w trakcie wojny zrozumiałe jest, że mąż stanu chce dać swoim żołnierzom coś aspiracyjnego, o co będą walczyć; w trakcie nieuniknionych negocjacji, będzie mógł dążyć do osiągnięcia zadowalającego porozumienia.

Niezrozumiała jest natomiast reakcja administracji Bidena — lub jej brak — na te deklaracje. Zamiast po cichu próbować zjednać sobie prezydenta Ukrainy, administracja ta dała Ukrainie zielone światło, sugerując, że wsparcie będzie trwało tak długo, jak długo Ukraina będzie chciała walczyć, bez względu na to, czy sprzyja to interesom USA.

Sceptyczne nastawienie do bezsensownego idealizmu

Niepokoi również pozorny brak troski establishmentu o to, jak wykorzystywana jest pomoc. Ameryka wydała na Ukrainę ponad 50 mld dolarów, około 10 mld dolarów z tych wydatków przeznaczono na „Fundusz Wsparcia Ekonomicznego" — w zasadzie czysty zastrzyk gotówki dla ukraińskiego skarbu. Reszta to mieszanka broni i pomocy. Jednak zaskakujący ostatni raport CBS podaje w wątpliwość, ile z tych materiałów rzeczywiście dotarło na linię frontu.

Wszystko to, wraz z niemożnością zakwestionowania tego bez bycia nazwanym prorosyjskim, przyspieszyło zmianę w sposobie myślenia GOP o Ukrainie i polityce zagranicznej w ogóle. To, co zaczęło się za czasów administracji Trumpa, nasiliło się, gdy republikańscy kandydaci w całym kraju coraz częściej odrzucali wyidealizowaną politykę zagraniczną swoich niedawnych partyjnych przodków i byli za to nagradzani.

Joe Kent, który niedawno pokonał Jaime Herrerę Beutler w prawyborach w Waszyngtonie, prowadził kampanię wyraźnie przeciwko idealizmowi w sprawie Ukrainy, nazywając żądania Putina na Ukrainie „bardzo rozsądnymi" i zgadzając się z opisem Zełenskiego jako bandyty. Jego zwycięstwo nad Herrerą Beutler, bardziej doktrynerskim GOP-owcem, sugeruje, że zmiany w myśleniu o polityce zagranicznej, które wprowadził Trump, nie są bynajmniej chwilowe.

Kent podąża za wieloma innymi zwycięzcami prawyborów i początkującymi urzędnikami, którzy są sceptycznie nastawieni do bezsensownego idealizmu. J.D. Vance, nominowany przez GOP do Senatu w Ohio, powiedział, że nie obchodzi go, co się stanie na Ukrainie, co spotkało się z dużym odzewem mediów — i wygrał swoje prawybory. Blake Masters, odpowiednik Vance'a w Arizonie, napisał na Twitterze, że „nowi liberalni doktorzy Strangelove zabiją nas wszystkich" swoją nieznajomością rzeczywistości i również wygrał swoje wybory. Urzędujący senator Josh Hawley, szybko wschodząca gwiazda, wyjaśnił niedawno w „National Interest", dlaczego głosował przeciwko przyjęciu Szwecji i Finlandii do NATO mówiąc, że Ameryka potrzebuje „prawdziwie strategicznej polityki zagranicznej — takiej, która patrzy na strategiczne interesy tego kraju teraz, a nie na świat sprzed lat".

Sam Trump powiedział, że Ukraina „powinna była dogadać się" z Rosją i powinna była poddać się rzeczywistości w takich sprawach jak Krym i NATO.

To wszystko powinno być sygnałem ostrzegawczym

Wygląda na to, że to rzeczywistość, a nie ideały, będzie rządzić polityką zagraniczną Republikanów. I prawdopodobnie najbliższe dwie tury wyborów to potwierdzą. Wszyscy wyżej wymienieni kandydaci mają duże szanse na zwycięstwo w listopadzie. Jeśli Donald Trump zdobyłby Biały Dom w 2025 r., prawdopodobnie powróciłby do Waszyngtonu wraz z jeszcze większą liczbą nowo wybranych senatorów i przedstawicieli, którzy podzielają te poglądy.

„To wszystko powinno być sygnałem ostrzegawczym dla ukraińskich przywódców i partii. Jeśli chcą, żeby ich dostęp do łatwej kasy wciąż trwał, zamiast zdjęć do Vogue'a i legalizacji małżeństw homoseksualnych, powinni opracować argumenty, dlaczego wsparcie dla Ukrainy leży w narodowym interesie Ameryki" — pisze theamericanconservative.com.

Do 2025 r. „Bo my jesteśmy demokracją, a Rosja nie" nie będzie już miało sensu i z pewnością nie przekona kierowanych przez GOP władz wykonawczych i ustawodawczych do przekazania kolejnych miliardów pomocy. Wydaje się, że Partia Republikańska, a wkrótce po niej amerykański rząd, będzie zadawać bardziej realistyczne pytania w rodzaju „Co nam to da?". Problemy będą postrzegane przez pryzmat „America First", a jeśli Ukraina nie będzie w stanie dostosować się do tej rzeczywistości, straci swoje najsilniejsze i najbogatsze państwo wspierające.

Ta zmiana obejmie także resztę Europy i świata. W 2020 r. minister spraw zagranicznych Niemiec nazwał „nie do przyjęcia" fakt, że prezydent Trump wyprowadził jedną trzecią swoich wojsk z kraju, a dwa lata wcześniej niemieccy urzędnicy śmiali się z przemówienia Trumpa w ONZ, w którym zasugerował, że Niemcy pewnego dnia zapłacą za swoją nadmierną zależność od rosyjskiej ropy. A teraz, nawet po rosyjskiej inwazji, jeden z think tanków stwierdził, że Niemcy prawdopodobnie nie dotrzymają obietnicy wydawania 2 proc. na obronę do 2024 r.

„Jest oczywiste, że Niemcy i duża część Europy mają po prostu nadzieję, że wojna na Ukrainie wkrótce się skończy i będą mogli wrócić do normalnego funkcjonowania" — czytamy.

GOP jest gotowa na konfrontację z rzeczywistością

Kiedy nie było pewne, w jakim kierunku pójdzie Partia Republikańska, ta nadzieja była uzasadniona. Jednak nowa grupa republikanów „America First" twierdzi inaczej. Europejczycy i firmy obronne, które zakładają, że Ameryka zawsze będzie częścią NATO, powinny zacząć rozważać inne możliwości. Ale nowa polityka zagraniczna nie zatrzyma się na NATO. Przez dziesiątki lat po zimnej wojnie kluczowym elementem polityki amerykańskiej było zawarcie jak największej liczby umów o wolnym handlu; czasami wydawało się, że każda administracja konkuruje z poprzednią o to, kto zawrze więcej umów o wolnym handlu.

Jednak polityka handlowa, którą wprowadził Trump, pozostanie na zawsze, ponieważ wszyscy wyżej wymienieni kandydaci (i wielu innych) wyrażali sceptycyzm wobec wolnego handlu i wysyłania przemysłu za granicę. Sam Trump na CPAC 2022 wezwał do wpisania ceł na Chiny do ustawy i rozszerzenia uprawnień prezydenta w zakresie ceł. Jeśli w 2025 r. Trump odzyskałby władzę w Kongresie dzięki GOP, uchwalenie takiej ustawy będzie niemal pewne.

„Jak mówi powiedzenie: albo poradzisz sobie z rzeczywistością, albo możesz być pewien, że rzeczywistość poradzi sobie z tobą. Nowa GOP jest gotowa na konfrontację z rzeczywistością. Czy reszta świata też?" — konkluduje The American Conservative.

Źródło: The American Conservative

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - *Warszawa – Polska* **www.nowyswiat24.com.pl** **Numer 14(26)/2022**

Dlaczego polityka unijna Emmanuela Macrona wciąż zawodzi?

Możliwość wykonania odważnego skoku w integracji europejskiej jest dziś najbardziej prawdopodobna od czasu upadku muru berlińskiego. Francja ponownie wybrała Emmanuela Macrona, najbardziej proeuropejskiego prezydenta w historii. Prezydent Francji ma dobre pomysły, ale jego podejście do UE jest niejasne, jednostronne i wyrachowane — pisze w portalu Foreign Policy Shahin Vallée, dyrektor programu geoekonomii w Niemieckiej Radzie Stosunków Zagranicznych, były doradca francuskiego Ministerstwa Gospodarki.

Po 16 latach rządów Angeli Merkel Niemcy są obecnie kierowane przez koalicję, która przyrzekła przekształcić Europę w państwo federalne. Po inwazji Rosji na Ukrainę Dania szybko zerwała ze swoją niechęcią do wspólnej polityki obronnej Unii Europejskiej. A Polska, niegdyś europejski renegat, teraz wyraźniej niż kiedykolwiek widzi, co może stracić na osłabieniu Europy. Okoliczności geopolityczne szczególnie sprzyjają głębokim zmianom.

Kryzys COVID-19 uświadomił Europie jej międzynarodową zależność ekonomiczną i potrzebę solidarności, wojna na Ukrainie wywołuje poczucie jedności, jakiego nie było od czasu kryzysu euro, a rosnące obawy o to, że Stany Zjednoczone zmierzają w kierunku kolejnego prezydenta w stylu Trumpa, w końcu budzą w Europejczykach rzeczywiste przygnębienie.

„Jednak mimo tak wspaniałego układu gwiazd, Europa wydaje się być w zawieszeniu. Unia Europejska nie przetrawiła jeszcze w pełni odejścia Wielkiej Brytanii i nie nawiązała nowych relacji z Londynem. Pozostaje podzielona co do zakresu i tempa rozszerzenia, nie jest też pewna czy odważna interwencja fiskalna podjęta w czasie kryzysu COVID-19 była pierwszym krokiem w kierunku europejskiego federalizmu fiskalnego, czy też była jednorazowa. Bruksela nadal walczy z Węgrami o łamanie praworządności, boryka się z niestabilnością na Bałkanach i, co ważne, nadal jest obciążona traktatami europejskimi, które stanowią przeszkodę w wypracowaniu wspólnego podejścia w krytycznych obszarach, takich jak energetyka, zdrowie, polityka fiskalna i obronność" — czytamy w amerykańskim serwisie foreignpolicy.com.

Źródło: @EmmanuelMacron/Twitter

Kryzys COVID-19 uświadomił Europie jej międzynarodową zależność ekonomiczną i potrzebę solidarności

Problem z metodą Macrona

Macron przez całą swoją pierwszą kadencję zachwycał publiczność proeuropejską retoryką, ale nie przełożyła się ona na konkretne sukcesy polityczne. Po półrocznej rotacyjnej prezydencji Francji w UE i po rozpoczęciu przez Macrona nowej kadencji warto zadać sobie pytanie: co tłumaczy rozdźwięk między ambitnym programem europejskim Macrona a faktem, że większość jego wysiłków podczas pierwszej kadencji zakończyła się porażką?

„W rzeczywistości jest problem z metodą Macrona. Jego buńczuczne przemówienia wyraźnie wstrząsnęły innymi europejskimi przywódcami, którzy otrząsnęli się z zaprzeczania i samozadowolenia, ale nie udało im się stworzyć trwałej koalicji" — pisze Shahin Vallée.

Przepaść między retoryką Macrona, a jego działaniem, była najbardziej widoczna podczas ostatniego spotkania przywódców UE w czerwcu, które zakończyło rotacyjną prezydencję Francji w UE. Jego apel o głębszą integrację został zignorowany, wezwanie do utworzenia Europejskiej Wspólnoty Politycznej ledwie przedyskutowane, a jego nadzieje na debatę nad konwencją mającą na celu zreformowanie traktatów europejskich, były tak odległe od programów innych przywódców, że w ogóle zostały usunięte z porządku obrad.

Jego program dla strefy euro, hucznie zainicjowany w czerwcu 2018 roku, został pogrzebany kilka dni później przez Mário Centeno, ówczesnego ministra finansów Portugalii i przewodniczącego Eurogrupy, a następnie Rada Europejska wbiła gwóźdź do trumny. Wraz z tym zniknęły nadzieje na budżet strefy euro, który miałby ustabilizować i wzmocnić wspólną walutę. Od tego czasu nic się nie zmieniło w kwestii niekompletnej architektury strefy euro.

Jego buńczuczne przemówienia wyraźnie wstrząsnęły innymi europejskimi przywódcami

Z Paryża nie wyszła żadna propozycja

Stanowcza odmowa w 2019 r. rozpoczęcia rozmów akcesyjnych z zachodnimi krajami Bałkanów, kiedy to jednostronnie i z opóźnieniem Macron wezwał do stworzenia nowych ram rozszerzenia, nie tylko zirytowała większość Europy, ale musiała zostać całkowicie unieważniona w roku 2022 w obliczu rosnącej niestabilności.

Prowokacyjne oświadczenie z 2019 r., że NATO jest pozbawione mózgu, nie umożliwiło podjęcia żadnych kroków w kierunku stworzenia nowego europejskiego systemu bezpieczeństwa, o co Macron apelował.

A wspólny artykuł w „Financial Times", który Macron napisał z włoskim premierem Mario Draghim w grudniu 2021 r., wzywający do nowej formy zarządzania gospodarczego UE, nie został nawet omówiony na pompatycznym szczycie wersalskim w marcu. Od tego czasu z Paryża nie wyszła żadna propozycja reformy europejskich zasad fiskalnych.

Wezwanie Macrona do zorganizowania konferencji na temat przyszłości Europy, którą wymyślił podczas kampanii wyborczej w 2019 r., jako platformę startową dla głębokich reform instytucjonalnych, zostało szybko osłabione przez Parlament Europejski, a jego odważna próba reanimacji pomysłu podczas przemówienia w Strasburgu 9 maja spotkała się z twardym oporem.

Ciąg dalszy na stronie 9

W czasie tego przemówienia Macron zapowiadał również powstanie nowej Europejskiej Wspólnoty Politycznej, która pozwoli Europie zarówno powiększyć się o nowe państwa członkowskie, jak i pogłębić integrację z istniejącymi — przyznając, że będzie to wymagało całkowitej zmiany traktatów unijnych.

Trzy podstawowe choroby

Po tak ambitnym przemówieniu trudno sobie wyobrazić bardziej katastrofalną reakcję. Jeszcze w tym samym dniu koalicja 13 państw członkowskich pod przewodnictwem Szwecji opublikowała mocne sprostowanie, podkreślając, że konferencja nigdy nie miała na celu przeprowadzenia reform instytucjonalnych i traktatowych. Niecały tydzień później Belgia, Niemcy, Włochy, Luksemburg, Hiszpania i Holandia zasadniczo odrzuciły jakiekolwiek zaangażowanie przywódców na tym etapie, proponując biurokratyczną „grupę roboczą ad hoc" — innymi słowy, powolną śmierć przez wyciszenie.

W ciągu kilku dni Macron zdołał stawić czoła sprzeciwowi około 19 z 27 krajów dla pomysłów, które mogłyby — przy lepszym przygotowaniu i wcześniejszej dyplomacji — zyskać poparcie większości. W wyniku tej porażki Europa została bez realnego programu wzmocnienia swojej architektury i prawdziwego planu umocnienia swoich relacji z sąsiadami.

„Powodem tych niepowodzeń jest fakt, że europejska polityka Macrona cierpi na trzy podstawowe choroby. Jest nieprecyzyjna, jednostronna i nastawiona na własne korzyści" — czytamy w analizie.

Napoleońska próba przebudowy Europy

Francja pozostaje zasadniczo niejednoznaczna w odniesieniu do najważniejszych aspektów swojej wizji europejskiej. Podczas gdy Niemcy twierdzą, że chcą zbudować jądro państwa federalnego dla UE, Macron zdaje się uważać, że wypowiadanie słowa „federalny" jest zbyt kosztowne w kraju i zbyt idealistyczne za granicą. Rozszerzenie głosowania większością kwalifikowaną, którego Francja często się domaga, pozwoliłoby unikać weta mniejszych państw członkowskich w takich dziedzinach jak polityka fiskalna czy podatkowa. Francja jednak rzadko wyjaśnia, czy jest gotowa zrezygnować z własnego prawa weta w dziedzinach o kluczowym znaczeniu, takich jak polityka zagraniczna i obronność oraz czy jest gotowa przekazać władzę wykonawczą Komisji Europejskiej i rozszerzyć uprawnienia Parlamentu.

Odrzucenie przez Macrona zasady Spitzenkandidat w 2019 r. — w ramach którego przewodniczący Komisji byłby wyznaczany przez zwycięską partię polityczną w wyborach europejskich, co zapewniłoby mu większą legitymizację — słusznie lub niesłusznie utwierdziło opinię publiczną, że europejska wizja Macrona jest tylko kolejną odsłoną gaullizmu.

Jest ona jednostronna, zarówno w tym sensie, że Macron zawsze woli działać sam, niż budować koalicje, jak i dlatego, że polityka europejska Francji wydaje się zaczynać i kończyć na nim. W rzeczywistości jego rząd, służby dyplomatyczne i krytycznie nastawione społeczeństwa obywatelskie w całej Europie, mogłyby być naturalnym wzmocnieniem jego poglądów, ale częściej pozostają w jego cieniu. A jego podejście rzadko polega na budowaniu koalicji zorganizowanych wokół wspólnych celów.

Macron nadal nie przekonał się do zmian, które pozwoliłyby łączyć śmiałość z budowaniem konsensusu

Co jednak ciekawe, bardzo uderzające jest to, że w tych nielicznych przypadkach, kiedy Macron działał wspólnie, odnosił wyjątkowe sukcesy: koalicja, którą pomógł zbudować (przeciwko Niemcom) w rumuńskim Sybinie w 2019 r., umożliwiła Europie przejście do neutralności węglowej, a list, który podpisał w 2020 r. wraz z ośmioma innymi państwami członkowskimi (przeciwko Niemcom), domagając się wspólnej reakcji fiskalnej na kryzys COVID-19, doprowadził do powstania planu naprawczego UE o wartości 750 mld euro.

Długotrwałe protesty „żółtych kamizelek" ujawniły społeczne niezadowolenie we Francji

W czasie tego przemówienia Macron zapowiadał również powstanie nowej Europejskiej Wspólnoty Politycznej

Wreszcie, podejście Macrona do UE jest często egoistyczne i można je łatwo pomylić z napoleońską próbą przebudowy Europy na obraz i w interesie Francji.

Koalicja Macrona utraciła przewagę w parlamencie

Jest to być może bardziej widoczne w dziedzinie polityki zagranicznej i obronności, gdzie śmiałe ambicje Macrona dotyczące suwerennej Europy są postrzegane jako próba wykorzystania siły i wielkości Europy przez słabnące mocarstwo, w celu utrzymania swoich zanikających wpływów w polityce zagranicznej.

Macron nadal nie przekonał się do zmian

Jednak brak gotowości Francji do dyskusji na temat dzielenia się z resztą Europy swoim potencjałem odstraszania nuklearnego, promowanie francuskich rozwiązań wojskowo-przemysłowych zamiast tworzenia prawdziwie europejskich oraz niechęć do dyskusji na temat głosowania większością kwalifikowaną w polityce zagranicznej (co oznaczałoby utratę przez Francję prawa weta i osłabienie jej możliwości jednostronnej interwencji) są rozumiane w całej Europie jako oznaki tego, że Macron mówi, ale nie idzie drogą prawdziwej integracji europejskiej w dziedzinie obronności.

Uderzające jest to, że po pierwszej kadencji wypełnionej zawiedzionymi ambicjami europejskimi Macron nadal nie przekonał się do zmian, które pozwoliłyby łączyć śmiałość z budowaniem konsensusu.

Prowadzi to do coraz większej izolacji i zmusza Francję do przedstawiania porażek, jako sukcesów oraz do uznawania spotkań na czerwonym dywanie — takich jak zbliżające się październikowe spotkanie szefów państw europejskich — jako znaczącego kroku w kierunku prawdziwej europejskiej wspólnoty politycznej, podczas gdy spotkanie to nie ma programu, celu ani założonych rezultatów.

Choć Macron bez wątpienia pozostaje europejskim przywódcą o najbardziej klarownym spojrzeniu na przyszłość Europy i niezbędne reformy, jego niezdolność do zrealizowania którejkolwiek z nich sprawia, że Europa jest głęboko zagrożona i pozbawiona kierunku.

Francji musi być mniej egoistyczna

Prawdziwe niebezpieczeństwo polega na tym, że przy braku planu integracji politycznej wojna na granicy Europy, koszty ekonomiczne sankcji i koszty wymaganej transformacji energetycznej przekształcą obecny moment z szansy w źródło podziałów i paraliżu.

„Aby tego uniknąć, Berlin musi wyjść ze stanu głębokiego zaprzeczenia i wprowadzić w życie swoje koalicyjne ambicje traktatowe poprzez zdecydowane wezwanie do europeizacji polityki energetycznej i sprecyzowanie warunków budowy nowej europejskiej architektury i systemu bezpieczeństwa" — uważa Shahin Vallée.

Analityk podkreśla dodatkowo, że europejska polityka Francji musi być bardziej przejrzysta, cierpliwa i mniej egoistyczna. Francja musi pozbyć się niejasności co do rodzaju reform instytucjonalnych, do których wzywa, nawet jeśli ich realizacja zajmie całe pokolenie. Musi też skończyć z wielkimi ambicjami i personalizacją swoich europejskich wysiłków, ponieważ istnieją wyraźne dowody na to, że kiedy Macron poświęca czas i energię na budowanie szerokich i zróżnicowanych koalicji ponadnarodowych, on i Europa odnoszą sukces.

Źródło: Foreign Policy

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - Warszawa – Polska *Numer 14(26)/2022*

Co zyskujemy dzięki kry

Amerykański dwumiesięcznik „Foreign Policy" podejmuje temat obecnego kryzysu supermocarstw zastanawiając się, czy tak jak w przeszłości może wyniknąć z tego coś dobrego dla krajów demokratycznych.

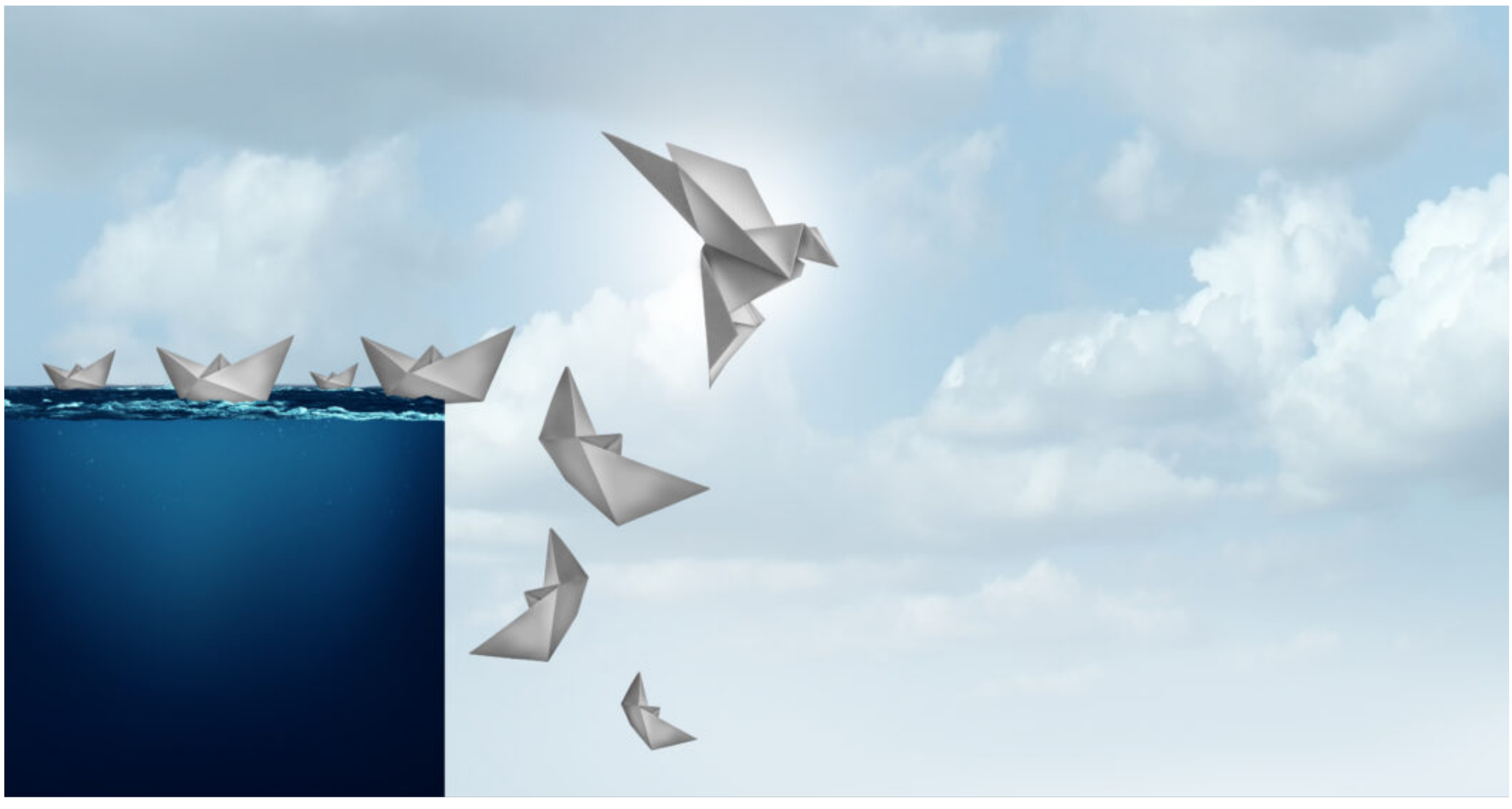

Czy nadeszła era trwałych napięć pomiędzy supermocarstwami? Inwazja Rosji na Ukrainę zdestabilizowała wschodnią część kontynentu oraz wywołała wojnę zastępczą z NATO. Ryzyko globalnej eskalacji znacznie wzrosło. W Azji kryzys między USA i Chinami spowodowała wizyta przewodniczącej amerykańskiej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi na Tajwanie. A to tylko jeden z wielu punktów zapalnych na zachodnim Pacyfiku. Możliwe, że pytanie nie brzmi, czy dojdzie do starcia, ale kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach ono nastąpi.

Waszyngton musi też mierzyć się z odnowieniem kryzysów nuklearnych z Iranem i Koreą Północną. Nie są to jednak sprawy, które mogłyby doprowadzić do wojny, w przeciwieństwie do konfliktów wielkich mocarstw. To ich zmagania są próbą sił o najwyższą stawkę.

Ale kryzysy pozwalają też na zrozumienie dyplomatycznych i wojskowych intencji przeciwnika. Pokazują cenę geopolitycznego współzawodnictwa oraz są okazją do podjęcia konstruktywnych działań. Dla Stanów Zjednoczonych może to być sposób na wzmożenie inicjatyw i inwestycji, które pomogą zatriumfować w przedłużającej się rywalizacji.

Aby lepiej pojąć te mechanizmy, warto cofnąć się do początków zimnej wojny. Pod koniec lat 40. XX wieku różnorodne kryzysowe sytuacje pojawiały się od Europy Zachodniej po Azję Wschodnią. Wszechobecne były obawy przed kolejną wojną. Waszyngton i jego sojusznicy poradzili sobie z problemami, ostatecznie zwyciężając w zimnowojennej potyczce. Jednak rozwiązania, takie jak doktryna Trumana, Plan Marshalla, czy utworzenie NATO, zrodziły się nie ze spokoju, lecz pilnej potrzeby, jaka pojawiła się w kryzysie.

Także teraz Stany Zjednoczone i powiązane z nimi państwa mogą wykorzystać napięcie na świecie, żeby rozpoznać własne słabości militarne oraz wzmocnić istotne koalicje czy zdobyć krajowe poparcie dla bardziej zdecydowanych działań. Kryzysy nie są niczym niezwykłym w mocarstwowej rywalizacji. Szczególnie często zdarzają się na początku, gdy nie są jeszcze wyznaczone czerwone linie graniczne i strefy wpływów.

Inaczej było w przypadku zimnej wojny. Pierwsze zgrzyty pojawiły się, kiedy Związek Radziecki w 1946 roku wywarł nacisk na Iran i Turcję. W pierwszej połowie 1947 roku doszło do kryzysu spowodowanego komunistycznym przewrotem, wojną domową w Grecji oraz ekonomicznym upadkiem Europy Zachodniej. W następnych latach wystąpiły zamach stanu w Czechosłowacji, blokada Berlina Zachodniego i zwycięstwo komunistów w wojnie domowej w Chinach. W 1950 eskalował konflikt na Półwyspie Koreańskim.

Przez cały okres zimnowojenny nikt w Waszyngtonie nie był pewien, czy nie dojdzie do globalnego starcia. Wspierając Turcję w 1946 roku przeciw sowieckim groźbom, prezydent Harry Truman powiedział: „równie dobrze możemy dowiedzieć się, czy Rosjanie chcą podbić świat teraz, jak i za pięć czy dziesięć lat". Podobne uczucie bliskości wojny towarzyszyło amerykańskim politykom podczas blokady Berlina oraz w trakcie wojny koreańskiej.

Truman uniknął konfliktu skutecznie łącząc rozwagę i siłę. Stany Zjednoczone odmówiły wycofania się z kluczowych obszarów. Waszyngton wspierał Turcję, Grecję i Iran przeciwko naciskom Moskwy. Jednak ówczesny prezydent USA ustępował w kwestiach, które uznano za drugorzędne. Odmówił interwencji w chińskiej wojnie domowej, co pozwoliło wygrać komunistom. A choć konflikt koreański przekształcił się z wojny o obronę Południa w ofensywę przeciw Północy, to Truman zadowolił się impasem, zamiast doprowadzić do szerszej konfrontacji.

Jednak tym, co sprawiło, że ten okres był geopolitycznie tak transformujący, było skuteczne zarządzanie i wykorzystanie tych kryzysów przez Waszyngton i sprzymierzeńców. Przykładem może być doktryna Trumana z marca 1947 roku. Jej postulaty obejmowały m.in. pomoc w wysokości 400 milionów dolarów dla Grecji i Turcji. Truman oświadczył, że świat jest podzielony na „alternatywne sposoby życia", a Stany Zjednoczone muszą wspierać „wolne narody" w walce z inwazją totalitaryzmu.

Uważał, że nie chodzi tylko o bezpieczeństwo basenu Morza Śródziemnego, ale też powstrzymanie ZSRR i jego popleczników od narzucania swojej woli innym państwom. Udało się dzięki temu zachować kluczowe placówki na granicy Europy, Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Doktryna pokazała też, że dzięki zainwestowaniu w stworzenie międzynarodowej stabilności tuż po wojnie, USA nie musiało wkładać znacznie więcej pieniędzy i wysiłku, aby ją utrzymać w późniejszym okresie.

Ciąg dalszy na stronie 11

zysom supermocarstw?

Od tego momentu rozpoczął się również proces zdobywania poparcia społecznego i politycznego dla otwartej rywalizacji z Moskwą. A także zyskiwania inwestycji, które pozwoliły Stanom Zjednoczonym skutecznie prowadzić w zimnowojennym wyścigu.

Doktryna Trumana powstała na bazie kryzysu związanego z ekspansją komunizmu i zastraszaniem dyplomatycznym Turcji ze strony Sowietów, a także upadkiem wpływów Wielkiej Brytanii w regionie. W ciągu zaledwie dwóch tygodni przygotowano bezprecedensowy pakiet pomocy gospodarczej i bezpieczeństwa dla Europy w czasie pokoju. Sytuacja nadzwyczajna stała się bodźcem dla dyplomatycznej kreatywności.

Jeszcze większą innowacją okazał się plan Marshalla. Ten kosztowny zastrzyk pomocy gospodarczej o wartości 12 miliardów dolarów miał ożywić zachodnią Europę po wojnie i stworzyć z niej wspólnotę zdolną odeprzeć radzieckie zakusy. Także i tutaj USA zadziałało błyskawicznie, gdy tylko zaczęło rosnąć napięcie na linii Waszyngton – Moskwa. „Pacjent tonie, a lekarze się zastanawiają", oświadczył ówczesny sekretarz stanu USA George Marshall. Stany Zjednoczone porzuciły więc wcześniejsze wahania co do długoterminowego wsparcia dla Europy, a program pobudził Stary Kontynent ekonomicznie i politycznie. Sprowokowało to bardziej agresywne sowieckie działania, ale to z kolei spowodowało odpowiedź przestraszonych rządów zachodnioeuropejskich i zawiązanie Traktatu Północnoatlantyckiego, który przełamał prawie 150-letnią politykę izolacjonizmu USA.

W 1949 roku NATO istniało jednak głównie na papierze. Dopiero wybuch wojny koreańskiej skłonił Stany Zjednoczone do wysłania dodatkowych sił do Europy Zachodniej. Stworzono też jednolitą strukturę dowodzenia Sojuszu i zawarto pakty bezpieczeństwa z Japonią, Filipinami, Australią i Nową Zelandią. Kłopoty wczesnej zimnej wojny pozwoliły Ameryce na opracowanie właściwej polityki i zbudowanie silnej pozycji, dzięki której ostatecznie zwyciężyła.

Obecnie nadchodzi nowa fala kryzysów i nowa era rywalizacji Waszyngtonu z Moskwą i Pekinem.

Chiński przywódca Xi Jinping chce podważyć status quo w Cieśninie Tajwańskiej i w innych częściach Azji Wschodniej. Tam, gdzie aspiracje Chin kolidują z interesami i zobowiązaniami Stanów Zjednoczonych w zakresie bezpieczeństwa. Waszyngton pokazuje jednak, że jest zdeterminowany, aby powstrzymać Pekin przed wywieraniem nacisku na sąsiadów i przejęciem Tajwanu. W tym samym czasie chińskie groźby stają się coraz ostrzejsze. Wizyta Pelosi może nie doprowadzi do poważnego kryzysu bezpieczeństwa na zachodnim Pacyfiku, ale jakiś skutek wywoła.

Nie warto się też spodziewać, że Władimir Putin po cichu odejdzie. Jeżeli Rosja odniesie jakieś zwycięstwo w Ukrainie to będzie nadal starała się umacniać swoją pozycję w Europie Wschodniej. W przypadku przegranej może być jednak skłonna do desperackich posunięć. Współzawodnictwo w podejmowaniu ryzyka przez wielkie mocarstwa będzie się niestety pojawiać coraz częściej i zwiększać napięcie na świecie.

Waszyngton z pewnością będzie w stanie unikać niepotrzebnego prowokowania kryzysów, ale nie jest w stanie uniknąć ich całkowicie. Stany Zjednoczone mogą jednak wykorzystać takie sytuacje w dobrym celu.

Podczas wojny na Ukrainie Stany Zjednoczone przekazały Kijowowi więcej broni i pieniędzy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać

Kryzysy pokazują również intencje przeciwnika. Po II wojnie światowej Związek Radziecki dążył do dalszej ekspansji kosztem krajów niekomunistycznych. Do czegoś podobnego dochodzi dzisiaj w Ukrainie. Przez lata zachodni obserwatorzy debatowali nad tym, kim właściwie jest rosyjski prezydent. Mężem stanu, którego razi ekspansja NATO w kierunku Rosji, czy utajonym agresorem pragnącym restytuować ZSRR? Po lutowej inwazji tylko najbardziej naiwni analitycy mogą się nad tą kwestią nadal zastanawiać. Z jednej strony wojna jest dla Ukrainy kataklizmem. Z drugiej pokazała prawdziwe oblicze rosyjskiego dyktatora.

Kryzysy mogą też obnażyć słabości amerykańskiej postawy militarnej i umożliwić ich skorygowanie. Szczęściem w nieszczęściu jest fakt, że USA i ich sojusznicy odkryli niedoskonałości swoich arsenałów i obronnych baz przemysłowych w czasie wojny na Ukrainie, a nie swojej własnej. Od momentu inwazji zachodnie demokracje stanęły w obliczu trudnych kompromisów między zdolnością wspierania Ukrainy a możliwościami utrzymania w dobrej kondycji własnych armii.

Obecny konflikt pokazuje, jak szybko pełnowymiarowa wojna wielkich mocarstw w Europie lub na zachodnim Pacyfiku wyczerpałaby zapasy amunicji oraz uzbrojenie i inne aktywa państw Zachodu. I jak trudno byłoby je zastąpić. Aby jak najlepiej wykorzystać konflikt na Ukrainie, kraje demokratyczne powinny zwiększyć produkcję kluczowych systemów broni i amunicji. Inwestycja w większą odporność zbyt kruchego przemysłu obronnego to sposób na to, by nie dać się zaskoczyć, gdy wybuchnie kolejna wojna.

Finlandia i Szwecja w NATO? A jednak

Kryzysy przyspieszają też tworzenie się koalicji równoważących. Akces do NATO zgłosiły Finlandia i Szwecja, wzmocniło się także globalne przymierze państw demokratycznych, w tym Japonii, Korei Południowej i Australii.

Kryzys w Cieśninie Tajwańskiej przyspieszyłby zapewne tworzenie dwustronnych i wielostronnych porozumień przeciwko działaniom Pekinu. W swoich planach Waszyngton uwzględniłby nie tylko Tajwan, Japonię i Australię, ale też Indie i Wietnam. Rozważone zostałyby zapewne ewentualne sankcje ekonomiczne i technologiczne, które można zastosować w przypadku chińskiej agresji. Mogłoby to pobudzić nawet Czworokątny Dialog Bezpieczeństwa do stworzenia ram koalicji wojskowej.

Kryzysy to dobry sposób na przecięcie impasu. W pokojowych czasach nie doszłoby do stworzenia Planu Marshalla i NATO. Podczas wojny na Ukrainie Stany Zjednoczone przekazały Kijowowi więcej broni i pieniędzy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, i to w ekspresowym tempie. Czy w takim razie Waszyngton wykorzysta doświadczenia z obecnego konfliktu do osiągnięcia czegoś podobnego po drugiej stronie świata?

Amerykańska pomoc wojskowa dla Tajwanu mogłaby zostać znacznie sprawniej i szerzej zrealizowana, gdyby ograniczyć biurokrację. Ale Tajpej również powinno zwiększyć budżet obronny i skoncentrować się na zdolnościach asymetrycznych, takich jak pociski i drony oraz zdolności całej populacji do obrony.

Kryzysy stanowią okazję do budowania politycznego konsensusu i rozmachu. Podczas zimnej wojny napięcia między mocarstwami przekonały amerykańską opinię publiczną do wsparcia odważniejszych wydatków i polityki. Trudna sytuacja wytrąca systemy demokratyczne z samozadowolenia, obrazowo pokazując nadchodzące niebezpieczeństwa. I często robi to lepiej, niż elokwentne przemówienia czy poparte dowodami argumenty.

Problemem jest polityczny letarg. USA podejmują wiele kroków, żeby zwiększyć konkurencyjność wobec Chin – od zmniejszenia zależności w łańcuchu dostaw, po zagwarantowanie odpowiednich środków na obronę. Są to jednak krótkoterminowe koszty ekonomiczne i polityczne, a w ostatecznym rozrachunku polityka Waszyngtonu wobec Pekinu wydaje się neutralna. Amerykańskie firmy wahają się w sprawie handlu z Chinami, ale poważny kryzys w Cieśninie Tajwańskiej mógłby radykalnie zmienić ich ustosunkowanie. Podobnie jak strategię działania polityków.

Jak przyznał zimnowojenny strateg George Kennan kryzysy są niemal nieuniknione w trakcie rywalizacji wielkich mocarstw. „Nie ma prawdziwego bezpieczeństwa ani alternatywy dla życia w ryzyku". To właśnie nadchodzi obecnie, niezależnie od tego czy Amerykanie są na to gotowi, czy nie. Pytanie, czy Waszyngton będzie w owych zatargach potrafił się bezpiecznie poruszać i czy wykorzysta je na swoją korzyść?

Źródło: Foreign Policy

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 14(26)/2022*

Sri Lankę zniszczyła ekstremistyczna ideologia

„The Washington Examiner" zamieścił artykuł hinduskiego duchownego Josepha D'Souzy, w którym autor rozprawia się z ekstremistycznymi ideologiami, uznając je winnymi wielu zniszczeń i nieszczęść. Za jeden z przykładów podaje obecną katastrofę gospodarczą Sri Lanki.

13 lipca prezydent Gotabaya Rajapaksa został zmuszony do ucieczki ze Sri Lanki. Zmusiło go do tego wzburzenie i protesty mieszkańców. Wyspa pogrążona jest w największym od czasu odzyskania przez nią niepodległości w 1948 r. kryzysie gospodarczym. Boryka się z poważnym niedoborem walutowym, który ograniczył import paliw, żywności i leków. Obywatele walczą o zaspokojenie podstawowych potrzeb. Na wyspie brakuje nawet mleka i papieru toaletowego. Szacuje się, że do końca roku inflacja wzrośnie tam do 60 proc.

Szkodliwy ekologiczny ekstremizm

Ekologiczna rewolucja Rajapaksa dosłownie zdewastowała rolnictwo Sri Lanki. „To nic innego jak ekstremizm środowiskowy, który ignoruje potrzeby ubogich i nie stara się przyjąć zrównoważonego podejścia do kwestii środowiskowych" – ocenia Joseph D'Souza.

Plan byłego prezydenta zyskał pięć gwiazdek od światowego lobby ekologicznego, stale wieszczącego apokaliptyczne wydarzenia. A jednak to ekologiczne rolnictwo zabiło rozwijającą się gospodarkę i zdziesiątkowało kwitnącą klasę średnią. To samo ekologiczne lobby milczy, gdy teraz wypadałoby zapewnić żywność dla głodujących lankijskich rodzin.

W podobną pułapkę wpadły USA, podejmując ostrą politykę dotyczącą paliw kopalnych. Kraj posiadający ogromne zasoby naturalne importuje paliwa z innych krajów. Jest to całkowicie bezsensowne.

Gdyby Stany Zjednoczone nie musiały polegać na obcej ropie i były samowystarczalne w jej produkcji, sankcje związane z atakiem Rosji na Ukrainę nie miałyby tak poważnych globalnych skutków ekonomicznych. Ekstremizm ekologiczny doprowadził do wzrostu cen paliw do niezrównoważonego poziomu. Odbiło się to negatywnie na życiu milionów ludzi na całym świecie.

„Prawdą jest, że jako ludzie mamy zarządzać naszymi zasobami naturalnymi i wykazywać odpowiedzialną troskę o całe stworzenie. Podczas gdy uznajemy naszą porażkę w trosce o stworzenie, musimy również przyznać, że liderzy lobby ekologicznego są elitarną garstką, której styl życia jest daleki od ubogich i potrzebujących na świecie. Nie ma równoważnego apelu o konfrontację z rozpustną kulturą konsumpcyjną elit" – pisze Joseph D'Souza.

Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że ekologiczne elity nie odczuwają ani nawet nie rozumieją bezpośrednich konsekwencji swoich działań.

By świat, jeśli chodzi o paliwa, miał szansę wrócić do równowagi, Stany Zjednoczone muszą natychmiast przejść na rozsądną politykę paliwową. W konsekwencji wzrosłaby podaż paliwa, co spowodowałoby spadek jego ceny na całym świecie.

Obecna sytuacja jest jednak wygodna dla niektórych krajów. „Rosja i Chiny będą grać w tę grę tak długo, jak to możliwe, aż kryzys paliwowy zrujnuje główne gospodarki i osłabi determinację reszty świata" – twierdzi Joseph D'Souza.

Buduruwagala - starożytna świątynia buddyjska, Sri Lanka

Ekstremizm polityczny

„Mieszkańcy Sri Lanki otworzyli również drzwi do politycznego ekstremizmu, wybierając tak zwanego silnego przywódcę, który miałby wzmocnić jej majorytarną tożsamość. Nieokiełznana władza Rajapaksów skłoniła ich do zrobienia tego, co uważali za najlepsze, aby utrzymać się i kontynuować władzę" – tłumaczy autor.

Premier Indii Narendra Modi ostrzegał przed populizmem, przed dawaniem „gratisów", zamiast inwestowania w długoterminowy rozwój gospodarczy. Istnieje bowiem praktyka dawania darmowego prądu i innych dóbr w zamian za wsparcie wyborcze.

A silny ekstremizm Rajapaksy nie miał też nic wspólnego z buddyzmem i jego pokojowymi naukami. „Zarówno demokracje, jak i dyktatury powinny już wiedzieć, że brutalna siła i podporządkowanie religii w jakiejkolwiek części świata nigdy się nie uda. Religia jest związana z najgłębszymi rejonami ludzkiej duszy i nie ma na ziemi siły fizycznej, która mogłaby zniszczyć ludzkie dusze" – pisze Joseph D'Souza.

Ideologia byłego prezydenta okazała się wadliwa. Niestety – doprowadziła do masakry Tamilów nawet po poddaniu się tamilskich ekstremistów. Wciąż jeszcze przywódcy Sri Lanki nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności za to ludobójstwo.

„Odstawienie na bok rządów prawa w walce z brutalnymi ekstremistami, którzy podważają integralność narodu, oraz dopuszczenie procesów pozakonstytucyjnych, rozbija harmonię społeczną, która ma kluczowe znaczenie dla postępu gospodarczego. Kiedy jedyną odpowiedzią na ekstremizm mniejszości jest zbrojny ekstremizm majorytarny, nie ma nadziei na demokratyczne prawa i procesy" – tłumaczy autor.

To prawda, że mieszkańcy Sri Lanki głosowali na silnego przywódcę, który miał się nimi „zaopiekować". Jednak zamiast tego ich wybrańcy zadłużyli kraj i zafundowali im poważny kryzys ekonomiczny.

Mieszkańcy Sri Lanki niewątpliwie potrzebują teraz ogromnej pomocy ze strony demokratycznych państw. Tylko tak będą mogli wybrnąć z dramatycznej sytuacji i rozpocząć odbudowę kraju.

Ale czy nauczy to narody, że ekstremizm nie jest niczym dobrym i że przynosi jedynie szkody państwom i ich obywatelom? Według Josepha D'Souzy trzeba stawiać na dojrzałe demokracje, społeczeństwa obywatelskie, stopniową i odpowiedzialną politykę ochrony środowiska, ochronę mniejszości i odpowiedzialność rządzących. To właściwe odpowiedzi na obecny kryzys przywództwa, z którym mamy do czynienia w naszym złożonym świecie – pisze autor.

Joseph D'Souza jest misjonarzem i arcybiskupem anglikańskiego Kościoła Dobrego Pasterza w Indiach oraz założycielem Dignity Freedom Network, organizacji, która wspiera i dostarcza pomoc humanitarną dla zmarginalizowanych i wyrzutków z Azji Południowej.

Źródło: The Washington Examiner

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 14(26)/2022*

Zwycięstwo, które otworzyło aliantom drogę do Paryża

Kiedy wymieniamy chwalebne dokonania polskiego oręża podczas decydujących bitew na zachodnim froncie II wojny światowej, jednym tchem wymieniamy Monte Casino, Ankonę czy Bredę.

Uwadze obserwatorów umyka (nie wiedzieć czemu) – znaczący udział 1 Polskiej Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka w decydującym rozstrzygnięciu bitwy o Normandię. Było to krwawe starcie pod Falaise. Walki trwały od 12 do 21 sierpnia 1944 r. Naprzeciw połączonych sił amerykańskich, brytyjskich, kanadyjskich i polskich (przy symbolicznym udziale reprezentantów Wolnej Francji) stanęła niemiecka Grupa Armii B wraz z 7 Armią i 5 Armią Pancerną.

Oddziały niemieckie zostały zamknięte w kotle, który alianci utworzyli wokół francuskiego miasta Falaise. To tam siły niemieckie mające za zadanie utrzymanie korytarza Trun – Chambois, na zachód od Sekwany zostały rozbite, tracąc nie tylko zdolność działań ofensywnych, ale także utrzymania pozycji obronnych w północnej Francji na kierunku Paryż – granica francusko-niemiecka.

O wadze tej bitwy świadczyć mogą nazwiska dowódców. Po stronie aliantów byli to marszałek polny British Army Sir Bernard Law Montgomery, amerykański generał George Patton czy weteran obu wojen światowych, dowódca brytyjskiej 2 Armii generał Miles Dempsey i rzecz jasna generał Stanisław Maczek – twórca i dowódca 1 Polskiej Dywizji Pancernej. Po stronie niemieckiej warto wymienić feldmarszałka Guenthera Hansa von Kluge, dowódcę sił niemieckich na froncie zachodnim po lądowaniu aliantów w Normandii czy feldmarszałka Waltera Modela, którego z racji przydzielania niełatwych misji zwano „strażakiem Hitlera".

Co istotne potencjały sił były w istocie zrównoważone, gdyż 15 dywizji niemieckich broniło wcześniej przygotowanych i umocnionych pozycji przeciwko z górą 17 dywizjom aliantów. W sytuacji, gdy zła pogoda na kanale La Manche opóźniła dostarczenie niezbędnego zaopatrzenia i odwodów, Niemcy przemieszczając wojska wraz z zaopatrzeniem, skutecznie bronili pozycji w pobliżu Saint-Lô i Caen, opóźniając natarcie połączonych sił brytyjsko-amerykańskich. Von Kluge otrzymał nawet rozkaz kontrataku pomiędzy Mortain i Avranches, co w razie powodzenia oznaczałoby odwrócenie losów całej kampanii francuskiej.

W wyniku błędów w dowodzeniu, w próbie zdobycia (w ramach tzw. operacji „Totalize") strategicznych wzgórz na północ od Falaise i zamknięcia w okrążeniu Grupy Armii B, ciężkie straty poniosła kanadyjska 4 Dywizja Pancerna i polska 1 Dywizja Pancerna. Także Amerykanie zatrzymali się na południowej flance w pobliżu Argentan, a generałowie Patton i Bradley wydawali sprzeczne rozkazy, co do natarcia w kierunku Falaise.

Tym samym nie doszło do zamknięcia kotła. Pozwoliło to Niemcom skoncentrować rozproszone dotąd siły. W efekcie realnym stało się dotarcie z odsieczą z kierunku wschodniego w rejon walk Grupy Pancernej Heinricha Eberbacha. Dopiero kolejny manewr w ramach operacji „Tractable", zainicjowany 14 sierpnia o godz. 11:42 przez kanadyjską 4 i polską 1 Dywizję Pancerną doprowadził ostatecznie do zamknięcia kotła Falaise.

Gen. Stanisław Maczek podczas odprawy z dowódcami, lipiec 1944 r., źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Nie obyło się przy tym bez kardynalnych błędów Kanadyjczyków, którzy oznaczając swoje pozycje żółtym dymem, narazili się na bombardowanie sojuszniczego lotnictwa oraz następujące po sobie próby kontrataków ze strony niemieckiej. Niemcy desperacko chcieli dokonać wyłomu w pierścieniu okrążającym ich pozycje w pobliżu miasta Trun.

Pole bitwy pod Falaise (jak opisał je we wspomnieniach generał Eisenhower, który został przeprowadzony przez nie pieszo w 48 godzin po zamknięciu okrążenia) „było bez wątpienia jednym z największych pól śmierci w historii wojen". Tylko 12 Dywizja Pancerna SS straciła 94 proc. potencjału broni pancernej, całą artylerię, 70 proc. pojazdów. Z 20 tysięcy żołnierzy i oficerów oraz 150 czołgów początkowego stanu na moment przybycia tej formacji do Normandii – po Falaise ocalało (odpowiednio) – 30 ludzi i 10 czołgów.

Obrazuje to poziom strat po obu stronach w tej liczbie ofiarę krwi polskiego żołnierza. Pod Falaise poległo 325 Polaków, 1002 zostało rannych oraz 114 uznano za zaginionych. Warto więc, odwiedzając Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie odszukać tablicę „Falaise – Chambois 8 – 21 VIII 1944". Upamiętnia ona bojowy chrzest Pancerniaków Maczka...

Gdy generał Stanisław Maczek zwrócił się do podkomendnych z rozkazem przed decydującą batalią, napisał m.in. „Gdy w czerwcu 1940 r. opuszczaliśmy Francję, nasze szeregi były przerzedzone, nasza przyszłość nieznana i byliśmy bezsilni. Dzisiaj po czterech latach na ziemi brytyjskiej rozpoczęliśmy marsz bojowy do Polski. Pierwszym etapem tego marszu jest znowu Francja. I pamiętajcie wszyscy o jednym. Żołnierz polski bije się o wolność wielu narodów – ale umiera tylko dla Polski".

Maciej Małek

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

26 sierpnia 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 14(26)/2022*

Bluźnierstwo – broń muzułmanów przeciwko wyznawcom innych religii

Dialog między chrześcijanami i muzułmanami jest bardzo trudny. Na drodze do wzajemnego zrozumienia stoi wiele przeszkód. Ustawa o bluźnierstwie jest jedną z największych z nich, pisze „ABC Cultura". Dla chrześcijan jest bowiem nie do przyjęcia prawo, które dopuszcza prześladowania prawne za zniesławienie idei czy przekonań religijnych, a nie wyłącznie osób.

Jeśli ma się na myśli próby zabicia Salmana Rushdiego, autora „Szatańskich wersetów", nie przychodzi do głowy nic innego, niż tak zwana ustawa o bluźnierstwie. „Jest ona kijem używanym przez świat islamu do obijania żeber chrześcijańskiego Zachodu. Przede wszystkim jednak do kontrolowania i zastraszania własnych mniejszości religijnych" – tłumaczy „ABC".

Fatwy, które oburzyły Zachód

W wielu islamskich krajach obowiązuje religijne prawo szariatu. Jednym z najbardziej kontrowersyjnych jego punktów jest nakaz zabicia każdego, kto wypowie obelgę przeciwko Koranowi lub Mahometowi. Rządy bardziej umiarkowanych krajów o większości muzułmańskiej zrezygnowały ze stosowania tego punktu. Nie oznacza to jednak, że usunęły go ze swojego prawa. To powoduje, że często po wypuszczeniu oskarżonego na wolność, tłum fanatycznych muzułmanów dokonuje samosądu.

Fatw wydawanych przez muftich (muzułmańskich prawników i teologów) jest i było mnóstwo. Przechodziły one niezauważone. Jednak jedna z nich szczególnie wstrząsnęła światem Zachodu. Chodzi o wydaną w 1989 r. przez Chomeiniego, ówczesnego przywódcę Iranu, fatwę przeciwko Salmanowi Rushdiemu. Nakazuje ona muzułmanom zamordowanie urodzonego w Indiach brytyjskiego pisarza. To rozporządzenie było najbardziej brzemiennym w skutki dyplomatyczne dekretem islamskim ostatnich dziesięcioleci. Kolejnym, chyba jeszcze słynniejszym z nich, było skazanie na śmierć pakistańskiej chrześcijanki Asi Bibi za bluźnierstwo przeciw islamowi. Na szczęście została ona ostatecznie uniewinniona przez sąd najwyższy w 2018 r. Obecnie jest uchodźcą wraz z rodziną w Kanadzie. Musi się jednak ukrywać.

Teheran po latach od wydania fatwy zobowiązał się nie „wykonywać" nakazu Chomeiniego przeciwko autorowi „Szatańskich wersetów". Nie znaczy to jednak, że uchylił nakaz. Co więcej, bliska irańskiej władzy fundacja podniosła nagrodę za zabicie Rushdiego do 4 mln dolarów. Największą nagrodą dla fanatycznego muzułmanina jest jednak spełnienie poważnego obowiązku religijnego, który przynosi mu prawdziwy prestiż i poklask islamskich mediów.

Ustawa o bluźnierstwie a wolność słowa

Ludzie Zachodu nie są w stanie zaakceptować islamskiego prawa pozwalającego na egzekucję każdego, kto wypowie się przeciwko islamowi. Na Zachodzie wolność słowa jest co najmniej tak samo święta, jak islamskie prawo o bluźnierstwie.

Na dodatek, dla ludzi Zachodu nie do przyjęcia jest stosowana przez muzułmanów praktyka egzekwowania przez nich zasad szariatu. By skazać za bluźnierstwo, wystarczy zeznanie tylko dwóch muzułmanów – zwykle przeciwko wyznawcom mniejszości religijnych, na ogół zresztą biednych i niezdolnych do wynajęcia adwokatów. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że przepis karzący za bluźnierstwo więzieniem lub śmiercią dotyczy tylko osób podejrzanych o znieważenie Koranu czy proroka Mahometa. Muzułmanie mogą bezkarnie znieważać inne religie.

„Co dziwne, presja ze strony świata muzułmańskiego na społeczeństwo zachodnie – które do ekstremum zbagatelizowało bluźnierstwo przeciwko własnej religii – jest większa, niż się wydaje" – zauważa „ABC". W 2010 r. 56 państw islamskich w ONZ było bliskich przyjęcia rezolucji potępiającej „zniesławianie religii". W rzeczywistości jest to zwykły eufemizm dla ograniczenia wolności słowa na Zachodzie i osłony islamskiego prawa o bluźnierstwie.

Muzułmański lobbing

Islam ma też swoje lobby – Organizację Konferencji Islamskiej (OIC). Szczególne jest to, że ma ona większość w Radzie Praw Człowieka ONZ. Jest to mało znaczący organ ONZ, który co roku potępia „zniesławianie religii". „Od czasu sprawy Rushdiego islamska propaganda przypomina nam, że zjawiska takie jak Osama bin Laden i rzekomy wzrost odrzucenia Zachodu na Wschodzie są spowodowane dialektycznymi atakami na islam" – podsumowuje „ABC".

Źródło:ABC

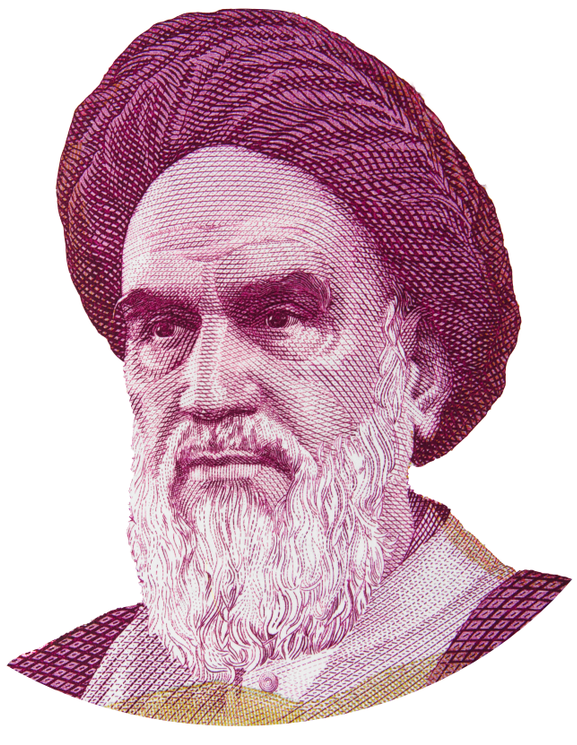

Ruhollah Chomeini - autor fatwy na Salmana Rushdiego

Saudyjka skazana na 34 lata za walkę o prawa kobiet

Gdyby Joe Biden spełnił swoją obietnicę wyborczą, Arabia Saudyjska, ostatnia dziedziczna teokracja na świecie, stałaby się „państwem pariasów". Zasługuje bowiem na taki los za ciągłe okrucieństwa wobec własnych poddanych. Zasady urągające prawom człowieka i szczególnie ograniczające wolność kobiet. Dobre intencje obecnego prezydenta skończyły się jednak wraz z końcem kampanii. „Ostatnio przyleciał do Rijadu na zwyczajową podróż, aby błagać Saudyjczyków o zwiększenie produkcji ropy, a jego sympatia do reżimu była oczywista, kiedy witał się z księciem Salmanem »przybiciem piątki«, jak kumple z Bronksu" – donosi serwis La Gaceta.

Taki „kumpelski" gest przywódcy Stanów Zjednoczonych na pewno uznany został przez Rijad za czek in blanco od Amerykanów na kontynuowanie narzucania – z czystym sumieniem – swoim poddanym zwyczajowej tyranii.

Kary za walkę o prawa kobiet

Przyjazna postawa Bidena wygląda obecnie dość paskudnie dla świata w sytuacji, gdy saudyjska aktywistka, będąca matką dwójki dzieci, została właśnie skazana na 34 lata więzienia za tweetowanie o represjach stosowanych wobec kobiet w wahabickim królestwie.

„Bez zrobienia choćby jednego kroku w kierunku odpowiedzialności, podróż Bidena i poparcie społeczności międzynarodowej zostały zrozumiane jako zielone światło" – twierdzi Bethany Al-Haidari, Saudi case manager we Freedom Initiative, grupie działającej na rzecz więźniów politycznych na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej.

Oskarżona 34-letnia Salma al-Shehab to studentka studiów podyplomowych na Uniwersytecie w Leeds w Anglii. Odwiedziła Arabię Saudyjską w styczniu 2021 r. Wtedy to właśnie została aresztowana i ostatecznie skazana na sześć lat więzienia. Jej jedyną przewiną było popieranie w mediach społecznościowych aktywistki Loujain al-Hathloul. Ta z kolei, została porwana w Zjednoczonych Emiratach Arabskich w maju 2018 r. wraz z kilkoma prominentnymi aktywistami działającymi na rzecz praw kobiet i aresztowana pod zarzutem „próby destabilizacji królestwa". Rozwścieczyła wahabitów opowiadaniem się za prawem Saudyjek do prowadzenia samochodu i za zniesieniem systemu męskich opiekunów w królestwie. [Co prawda, niedługo potem, bo w czerwcu 2018 r. pozwolono Saudyjkom zasiadać za kółkiem, ale nadal nie mogą uprawiać sportu, pójść do lekarza bez zgody męskiego członka rodziny. Będąc nieposłusznymi, ryzykują zamknięcie w pokoju nawet na całe życie – przyp. red.].

Najdłuższy wyrok w historii

Jeśli chodzi o Salmę al-Shehab, wygląda na to, że wyróżni się ona jeszcze w inny sposób spośród przeciętnych Saudyjek, czy nawet Saudyjczyków W zeszłym tygodniu Specjalistyczny Karny Sąd Apelacyjny podwyższył jej wyrok do 34 lat, co czyni go najdłuższym w historii Arabii Saudyjskiej.

„Arabia od dawna chwali się światu, że zainicjowała reformy prawne, które poprawiają pozycję kobiet, ale prawda jest taka, że sytuacja tylko się pogarsza" – pisze w swojej notatce Al-Haidari. „Saudyjskie władze muszą uwolnić Salmę i zapewnić, że jej małe dzieci nie będą dorastać bez matki, tylko dlatego, że wzywała do uwolnienia obrońców praw człowieka" – dodaje.

„Saudyjscy aktywiści już wcześniej ostrzegali zachodnich przywódców, że danie legitymacji księciu koronnemu utoruje drogę dalszym nadużyciom, czego niestety jesteśmy teraz świadkami" – mówi Lina al-Hathloul, szefowa działu monitoringu i komunikacji saudyjskiej i londyńskiej organizacji praw człowieka ALQST, siostra Loujain al-Hathloul.

Salma al-Hathloul została zwolniona z więzienia kilka tygodni po aresztowaniu al-Shehab. Nie może jednak wyjechać z Arabii Saudyjskiej ze względu na zakaz podróżowania.

„To ironia losu, że podczas gdy świętowano uwolnienie Loujain, Salma pozostała w więzieniu za to, że domagała się tego właśnie uwolnienia" – mówi Al-Haidari. „Władze saudyjskie starają się, aby aktywistki nie mogły świętować ani przypisywać sobie zasług za swoje ciężko wywalczone zwycięstwo" – tłumaczy przedstawiciel Freedom Initiative.

Źródło: La Gaceta de la Iberosfera

TikTok, czyli chiński koń trojański

Dzieci i młodzież są „mięsem armatnim dla tej nieskończonej pętli krótkich filmików, od których trudno odwrócić wzrok, tak jakby były replikami bohatera filmu »Mechaniczna pomarańcza« poddanego eksperymentowi Ludovica... ale dla przyjemności" – tak o TikToku pisze „El Espanol".

TikTok stał się niezwykle popularny. Tę mobilną aplikację internetową pokochała szczególnie młodzież. Główna funkcja programu polega na możliwości publikowania krótkich materiałów wideo, formą zbliżonych do teledysków muzycznych. TikTok wdarł się wszędzie, wkroczył w życie rodzin. Jest oczywiście w telefonach komórkowych i komputerach, ale także w mediach, w codziennych rozmowach, a przede wszystkim w domach. Korzysta z niego już ponad miliard aktywnych użytkowników. W ostatnich dwóch latach był najczęściej pobieraną aplikacją na świecie. Z liczbą ponad 3,5 mld pobrań wyprzedza dwóch gigantów, WhatsAppa i Instagram – podaje „El Espanol".

„A co, jeśli za pozorną błahością wirusowych tańców i memów kryje się koń trojański, który może wstrząsnąć zachodnimi demokracjami?" – zastanawia się gazeta.

Niemal od samego początku aplikacja jest otoczona kontrowersjami. Szczególnie od 2018 r., kiedy to po dwóch latach od powstania połączyła się z Musical.ly, której właścicielem jest chińska firma ByteDance Ltd. Interfejs jest tu bardzo wciągający, algorytm nieprzejrzysty, a pojawiły się jeszcze wątpliwości dotyczące prywatności użytkowników. Ostrzegano, że ByteDance może mieć dostęp do danych amerykańskich użytkowników. Najbardziej więc niepokoją, szczególnie Stany Zjednoczone, bliskie związki TikToka z jedyną siłą, która może zagrozić ich geopolitycznej supremacji: Chinami.

Źródło: El Espanol